

# XX LAT TEMU – KONIEC ZSRR

## JAK UPADAŁO IMPERIUM

### SŁAWOMIR POPOWSKI

publicysta, wieloletni korespondent w Moskwie: 1985–1990 Polskiej Agencji Prasowej, 1991–1994 i 2000–2003 „Rzeczpospolitej”. Członek redakcji dwumiesięcznika „Nowa Europa Wschodnia”, współzałożyciel i redaktor gazety internetowej „Studio Opinii.pl”. Członek zarządu Fundacji Centrum Prasowe dla Krajów Europy Środkowo-Wschodniej.

W październiku 1985 r., kiedy jechałem do Moskwy jako świeżo upieczony korespondent Polskiej Agencji Prasowej, Związek Radziecki trzymał się mocno. Właśnie opublikowano tezy na XXVII Zjazd Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Wcześniej, miesiąc po wyborze Michaiła Gorbaczowa na stanowisko sekretarza generalnego, odbyło się plenum kwietniowe KC KPZR, na którym po raz pierwszy padło hasło pierestrojki i przyspieszenia jako sposobu na odnowę pogłębiającego się w coraz większym kryzysie państwa. Nikt wówczas nie przypuszczał, że będzie to początek końca imperium

W 1979 r. kupiłem w Stanach Zjednoczonych głośną wtedy książkę *Trzecia wojna światowa*. Zebrano w niej przygotowane przez generałów z Grupy Planowania Strategicznego NATO scenariusze, które mogą doprowadzić do trzeciej wojny światowej. Rozważano różne możliwości, łącznie ze scenariuszem zaczynającym się od... strajku w Stoczni Gdańskiej. Wszystkie kończyły się upadkiem ZSRR. Ale żaden nie przewidywał, że radzieckie imperium rozpadnie się bez światowego kataklizmu, niejako od środka i w dużej mierze za sprawą tych, którzy chcieli je reformować, tchnąc w nie nowe życie.

### Gdy Kraj Rad trzymał się mocno...

Do Polski, poddanej wciąż rygorom stanu wojennego, docierały już pierwsze informacje o zmianach, jakie szykują się w ZSRR, ale były one szczątkowe i bardziej dotyczyły zamiarów aniżeli konkretów.

Więcej oczywiście wiedziało ściśle kierownictwo PZPR. Dopiero po latach ujawniono, że już w listopadzie 1985 r., podczas pierwszego, niejako rutynowego, ale utajnionego spotkania nowego genseka z przywódcami państw Układu Warszawskiego, Gorbaczow powiedział, że odtąd odpowiedzialność musi ponosić każda partia komunistyczna i jej kierownictwo. Słowem, zapowiedział odejście od doktryny Breżniewa, która głosiła, że Moskwa ma prawo interweniować w dowolnym kraju socjalistycznym (także militarnie), jeśli tylko uzna to za konieczne. Z oczywistych powodów informacje te nie wpływały poza ścisły krąg wąskiego kierownictwa PZPR.

Wiosną i późną jesienią 1985 r. dominowało więc raczej przekonanie – nie tylko zresztą w Polsce – że hasła o pierestrojce i przyspieszeniu mają charakter jedynie propagandowy; po śmierci Konstantina Czernienki i objęciu władzy w KPZR przez Gorbaczowa wszystko zakończy się tylko odmłodzeniem radzieckiego Biura Politycznego (co samo w sobie byłoby już rewolucją), reszta pozostanie bez zmian. Co najwyżej – mówiono – można oczekiwać drobnych zmian kosmetycznych i paru spektakularnych posunięć, jak to z wiosny 1985 r., gdy jednym pociągnięciem pióra, bez głębszej analizy skutków ekonomicznych, społecznych i politycznych wprowadzono w ZSRR *suchoj zakon*, czyli częściową, ale jak na tamtejsze warunki bardzo surową prohibicję.

### Logika alfabetu

Historycy pewnie jeszcze długo będą się spierać, dlaczego to właśnie Gorbaczow okazał się grabieżcą systemu, który go wyniósł na szczyty władzy.

Znakomitemu rosyjskiemu filozofowi i historykowi Michaiłowi Gefterowi – radzieckiemu dyssydentowi „z wyboru”, jak sam się przedstawiał – zadałem w 1992 r. pytanie o moment, w którym rozpoczął się koniec komunizmu w ZSRR. Jego zdaniem było to w 1968 r., kiedy na placu Czerwonym grupka osób zaprotestowała przeciwko inwazji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Po doświadczeniach stalinowskich po raz pierwszy pojawili się ludzie, którzy przełamali swój strach. A to na nim opierała się potęga i wszechwładza systemu. Od tej chwili mogło być już tylko lepiej. Przybywało odważnych.

Jednak dopiero Michaił Gorbaczow uruchomił mechanizm, który nazywam logiką alfabetu: zaczynasz reformować system, powiedziałeś „a”, więc musisz powiedzieć „b” i „c”. Aż dojdiesz do ostatniej litery w alfabecie, aby się przekonać, że systemu już nie ma.

Gwoli ścisłości: Gorbaczow nie był pierwszym, który chciał reformować Związek Radziecki. Swoją

wersję odgórnych reform, realizowanych pod hasłem dyscypliny i porządku, szykował Jurij Andropow, były szef KGB, który z tej racji znakomicie orientował się, jaki jest rzeczywisty stan państwa, ale nie zdążył rozwinąć skrzydeł; zmarł w lutym 1984 r., zaledwie półtora roku po tym, jak został sekretarzem generalnym KPZR. Jego zasługą jest natomiast wypromowanie sporej grupy młodych działaczy aparatu partyjnego (w tym Gorbaczowa), którzy doszli do głosu po krótkim okresie rządów Konstantina Czernienki.

O tym, że to Gorbaczow pogrzebał system, zdecydował cały splot okoliczności. Nie tylko tych zewnętrznych (spadek cen ropy i coraz droższy wyścig zbrojeń, którego kosztów ZSRR nie był już w stanie udźwignąć), ale także wewnętrznych. Być może te drugie okazały się nawet ważniejsze.

W końcu rządów coraz bardziej tracącego kontakt z rzeczywistością Leonida Breżniewa partyjna nomenklatura dzieliła się na „starców” i „sekretarzy połowych”. Ci pierwsi, zasiadający w najwyższych gremiach komunistycznych – rządili. Ci drudzy, pracujący w terenie i znacznie młodszy, mieli na głowie praktyczne problemy: walczyli o plany, produkcję, zbiory, ciepło w domach itp. Do grupy tej przez jakiś czas należał Gorbaczow, a także Jegor Ligaczow, no i Borys Jelcyn.

Narastały w tym środowisku nastroje krytyczne i Gorbaczow nie był tu wyjątkiem. Zwłaszcza że dochodziło jeszcze jedno zjawisko: całkowita blokada możliwości jakiegokolwiek awansu pionowego. „Z powodu dynastycznego panowania oligarchii partyjnej – pisze Andriej Graczow, autor jednej z najlepszych biografii Gorbaczowa (wydanie polskie Warszawa 2003) – system cyrkulacji kadrowej został naruszony. Sklerotyczne zatępy, które zatkały naczynia organizmu partyjnego i państwowego, zaczęły zagrażać zawałem nie tylko klientom Centralnego Szpitala Klinicznego, lecz i całemu systemowi”. Kremlowscy bonzowie pod presją dzieci i wnuków zaczęli przekazywać w spadku nie tylko państwowe dacje, ale i wpływowe stanowiska, to znaczy samą władzę. Ulica

ujęła to krótko w popularnej wówczas anegdocie: Czy syn generała może zostać marszałkiem? Nie, bo marszałek też ma syna.

### Aparatczyk-reformator

Kiedy więc zaczęła się jego wielka przemiana z posłusznego i lojalnego wobec „góry” aparatczyka w reformatora i burzyciela systemu, którego był dzieckiem? Na to pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Sam Gorbaczow, uważający się za przedstawiciela pokolenia „dzieci XX Zjazdu KPZR”, w jednym z wywiadów powiedział o sobie, że w tamtych latach nie był dysydentem, ale raczej rewizjonistą. Jeśli tak, to jego rewizjonizm nie przekraczał granic domu i dyskusji prowadzonych z żoną, absolwentką filozofii, znającą nie tylko dzieła klasyków marksizmu, ale także Sartre’a, Camusa, a nawet Herberta Marcuse’a. A jednak ten ulubieniec i protegowany Jurija Andropowa – który jako szef KGB i sekretarz generalny KPZR całe życie poświęcił tępieniu opozycji i dysydentów – okazał się najskuteczniejszym burzycielem systemu. System, który był przygotowany na obronę przed wrogiem zewnętrznym, okazał się całkowicie bezbronny wobec herezji wewnętrznej. Zwłaszcza jeśli płynęła ona z samego szczytu piramidy władzy.

Gorbaczow jednak wierzył w socjalizm do końca, nawet wtedy, gdy już go demontował. Był święcie przekonany, że błąd tkwi nie w teorii, ale w praktyce; że wystarczy zlikwidować sprzeczność między oficjalną fasadą reżimu i rzeczywistością, a wszystko samo się zmieni. Kto wie, może właśnie ta wiara spowodowała, że nie odstąpił od swoich zasad nawet wówczas, gdy wszystko się już waliło, a kiedy w 1990 r. próbował dokonać zwrotu, okazało się, że jest już za późno.

Początek niczego takiego nie zapowiadał. W marcu 1985 r., gdy Gorbaczow obejmował władzę, dominował optymizm. Praktycznie nie miał już konkurentów. Ostrzejszą walkę o przetrwanie musiał toczyć wcześniej, gdy umierający An-

dropow przekazał swoją wolę, aby jego następcą został właśnie najmłodszy w gronie ścisłego kierownictwa KPZR Gorbaczow. Przegrał wówczas z klanem starych breżniewowców Konstantina Czernienki, którzy z postaniem Andropowa postąpili tak samo, jak kilkadziesiąt lat wcześniej Stalin z testamentem Lenina: wykreślili jedno niewygodne dla nich zdanie.

W 1985 r., kiedy Czernienko spoczął pod murami Kremla, sprawa była już jasna. Główni konkurenci Gorbaczowa – sekretarze Griszyn (Moskwa) i Romanow (Leningrad) – byli już właściwie wyeliminowani. Podczas decydującego, pierwszego po śmierci Czernienki posiedzenia Biura Politycznego Andriej Gromyko – najstarszy w tym gronie – zaproponował Gorbaczowa na nowego szefa partii, a reszta natychmiast pospieszyła z wiernopoddańczymi deklaracjami. Całość była wcześniej uzgodniona z Gromyką, któremu w zamian zaproponowano stanowisko przewodniczącego ówczesnego parlamentu radzieckiego – Rady Najwyższej ZSRR.

Wszyscy byli zadowoleni: aparat partyjny – bo miał dość rządów starców i tęsknił za kimś młodym, kto tchnie życie w zmurszałe struktury. Wojsko i tzw. kompleks wojenno-przemysłowy – bo oczekiwano, że nowy, dynamiczny przywódca rusza skostniałą gospodarkę, smotnie przegrywając wyścig zbrojeń z Amerykanami. KGB – bo tam pamiętano sympatię i zaufanie, jakim Andropow darzył Gorbaczowa. Wreszcie – inteligencja, której młody Gorbaczow, potrafiący wypowiadać się zrozumiale i bez kartki, sam z manierami inteligenta, otwarty na dialog z ludźmi nauki, kultury i sztuki, wydawał się kimś zupełnie innym niż rządząca dotąd gerontokracja.

### Pierwsza ekipa Gorbaczowa

Gorbaczow dobrze orientował się, w jakim stanie znajduje się państwo. Jeszcze zanim został gensekiem, dbał o kontakty ze środowiskiem naukowym. Z jego inicjatywy w 1982 r. zorganizowano naradę, na której z krytycznym referatem wystą-

piła socjolog Tatiana Zaslawska. Ona też razem ze swoim kolegą z Nowosybirsk akademikiem Ablem Aganbegianem przygotowała 180-stronicowy popularny raport o gospodarce radzieckiej. Zawarte w nim tezy wyznaczyły potem kierunek przemian zapoczątkowanych przez Gorbaczowa.

Ważna była również narada w sprawie postępu technicznego, na której realistycznie oceniono kondycję radzieckiej nauki i jej szanse na wygranie „gwiazdnych wojen”, którymi straszyl prezydent Ronald Reagan. Jak się potem okazało, Amerykanie w dużej mierze blefowali, ale zmusili Moskwę do podjęcia porównywalnego wysiłku finansowego, na który nie było jej już stać. To z kolei wzmacniało dążenie do reform (głównie najsilniejszego wówczas kompleksu wojenno-przemysłowego) i – w pierwszym okresie – skutecznie wytrącało z ręki argumenty ich przeciwnikom.

Ale właśnie w tych kręgach Gorbaczow szukał swojego zaplecza intelektualnego. Oprócz Zaslawskiej i Aganbegiana tworzyli je akademicy Leonid Ałałkin i Oleg Bogomołow, a także Jewgienij Wielichow, Roald Sagdiejew, Stanisław Szatalin, Georgij Arbatow, Nikołaj Szmielow oraz Nikołaj Pietrakow. Wymieńmy jeszcze Georgija Szachnarowa, Anatolija Czerniajewa, Wadima Miedwiediewa i Walerija Bołdina (który zdradzi swojego patrona w dniach puczu sierpniowego). To oni, a nie urzędnicy z Komitetu Centralnego, tworzyli nieoficjalne ciało doradcze oraz „centrum mózgo- we” ekipy Gorbiego.

Wszystko to stanowiło olbrzymi atut Gorbaczowa, któremu bez większych trudności udało się odsunąć na boczny tor swoich przeciwników (w tym premiera Nikołaja Tichonowa) i zmontować ekipę pierestrojkową. Jako pierwsi zostali wynagrodzeni za wsparcie członkostwem w Biurze Politycznym Jegor Ligaczow, Nikołaj Ryżkow (który szybko zastąpił premiera Tichonowa) i Wiktor Czebrikow, kierujący wcześniej KGB. Przyspieszenia nabrała wówczas także kariera Anatolija Łukjanowa i Borysa Jelcyna, którego odkrył w Swierdłowsku (dziś Jekatierinburg) Ligaczow i namówił Gorbaczowa,

aby go ściągnąć do Moskwy. Nieco później do grupy tej dołączył – z pomocą Aleksandra Jakowlewa – Władimir Kriuczukow. Co najmniej połowa z nich wystąpiła potem przeciwko Gorbaczowowi, ale był to już schyłek jego kariery.

W tej drużynie szczególne miejsce zajmowały dwie osoby, cieszące się opinią najbardziej zdecydowanych reformatorów: Szewardnadze, z którym Gorbaczow znał się jeszcze z czasów wspólnej działalności w Komsomole i – jak pisał w pamiętnikach – mógł z nim „otwarciem rozmawiać o wszystkim”, oraz Jakowlew, ściągnięty z dyplomatycznego zesłania w Kanadzie, gdzie był ambasadorem i przypadł do gustu Gorbaczowowi podczas jednej z pierwszych jego zagranicznych podróży.

Obaj solidnie zapracowali na miano głównych architektów pierestrojki. Eduard Szewardnadze, zastępując na stanowisku ministra spraw zagranicznych Gromykę, otworzył Związek Radziecki na świat i stał się promotorem polityki „nowego myślenia” (w tym rozbrojenia – co miało zapewnić środki na modernizację kraju). Jakowlew zaś stał za reformami, które zmierzały do demontażu systemu komunistycznego. Co więcej, jeśli wierzyć jego wspomnieniom, spisany w fascynującej książce *Omut pamiaty (Wir wspomnień, nigdy w Polsce niewydanej)*, już w grudniu 1985 r., na kilka miesięcy przed XXVII Zjazdem KPZR, przesłał na ręce Gorbaczowa nieoficjalną notatkę zatytułowaną „Imperatywy politycznego rozwoju”. Przedstawił w niej rozpisany na etapy plan działania, przewidujący nie tylko wycofanie wojsk radzieckich z Afganistanu i daleko idące reformy polityczne, w tym demokratyzację systemu, przywrócenie rzeczywistego parlamentaryzmu i utworzenie stanowiska prezydenta ZSRR, ale także konieczność podziału KPZR na dwa skrzydła, a w przyszłości być może na dwie partie, które będą konkurowały ze sobą o władzę.

Obaj pożegnali się z Gorbaczowem, gdy nie chciał słuchać ich ostrzeżeń przed nadciągającym puczem, w 1991 r., na kilka miesięcy przed jego upadkiem.

## Na początek: „nowe myślenie”

Georgij Szachnazarow, jeden z najbliższych współpracowników Gorbaczowa, pisze w swoich pamiętnikach *S woźdiami i biez nich (Z wodzami i bez nich*, Moskwa 2001), u nas niewydanych: „każdą ideologię zamkniętą w sobie może naruszyć tylko wewnętrzna reformacja”.

Patrząc z dzisiejszej perspektywy, upadek imperium radzieckiego można podzielić na dwa etapy: najpierw, pod hasłem odnowy i przebudowy, mieliśmy do czynienia z faktycznym demontażem komunistycznego systemu totalitarnego, a gdy proces ten doprowadzony został do finału, dokonał się etap drugi – rozpad samego imperium. Było to logiczne, bo jeśli do systemu politycznego wprowadza się elementy demokracji, wcześniej czy później musi pojawić się pytanie o strukturę samego państwa, o przywrócenie (a właściwie wprowadzenie) zadeklarowanej w konstytucji zasady federalizmu.

Wszystko zaczęło się od próby uzdrowienia imperium i jego polityki zagranicznej. W 1985 r., kilka miesięcy po objęciu władzy, Gorbaczow wystąpił z pakietem propozycji rozbrojeniowych pod adresem Stanów Zjednoczonych, m.in. całkowitym zakazem prób z bronią jądrową. Wziął inicjatywę w swoje ręce. Działał tak, jak podczas spotkania z Margaret Thatcher (kiedy jeszcze nie był gen-sekiem). Gorbaczow – pisze w pamiętnikach Jakowlew, obecny podczas ich rozmowy – wyciągnął kopie ściśle tajnych dokumentów i map radzieckich, opatrzonych wszystkimi ważnymi pieczęciami, na których przedstawiono brytyjskie miasta – cele ataku nuklearnego. Thatcher zaniemówiła, zamarła wręcz w oczekiwaniu na to, co będzie dalej. A Gorbaczow najspokojniej jak tylko potrafił powiedział: – I z tym właśnie musimy skończyć... To wystarczyło, aby uznała go za kogoś absolutnie nowego w radzieckiej polityce i na tyle ważnego, aby podczas najbliższej wizyty w Stanach Zjednoczonych podzielić się swoimi uwagami z Reaganem.

Ta metoda długo okazywała się skuteczna. Już w listopadzie 1985 r. udało się doprowadzić do radziecko-amerykańskiego spotkania na szczycie w Genewie, co dało początek procesowi rozbrojenia, a przede wszystkim otwierało możliwości oparcia relacji między ZSRR i szeroko rozumianym Zachodem na zasadach zupełnie innych niż dotychczas. Sens tych działań, poza wymiarem ideologicznym i propagandowym, był jeden: chodziło o odciążenie gospodarki radzieckiej, która ponad 40 proc. swojego PKB przeznaczala na wydatki militarne.

Później doszedł jeszcze jeden element: polityka „nowego myślenia” i większe otwarcie na Zachód pozwalały Moskwie korzystać z jego pomocy finansowej.

Wróćmy jednak do lat 1985 i 1986. Gorbaczow był wówczas bożyszczem milionów i coraz bardziej ta rola mu się podobała. Wszyscy oczekiwali od niego zmian i reform, ale nikt – nie wyłączając jego samego – nie wiedział jeszcze jakich. Teoretycy marksizmu-leninizmu – pisze Gracow – opracowali wielką teorię, jak przejść od kapitalizmu do komunizmu, ale nie napisali ani słowa, jak iść w odwrotnym kierunku.

W marcu 1986 r. odbył się XXVII Zjazd KPZR. Z dzisiejszej perspektywy przemówienia delegatów mogą się wydać śmieszne, ale wtedy robiły wrażenie. Pamiętam wystąpienie Borysa Jelcyna, którego gwiazda po raz pierwszy zabłysła wówczas na ogólnoradzieckim firmamencie. Mówił krytycznie o demokracji wewnątrzpartyjnej, a przede wszystkim o przywilejach partyjnej nomenklatury: klinikach, rządowych daczach, reprezentacyjnych samochodach dla wybranych i specbufetach, podczas gdy dla szarego obywatela pozostawały śmierdzące sklepy z mięsem i rybą, wieczny deficyt towarów pierwszej potrzeby i cała nędza codziennego życia.

W kremlowskim Pałacu Zjazdów obradom przysłuchiwali się zaproszeni przywódcy „bratnich partii komunistycznych”. Czy przypuszczali, że za kilka lat historia zmiecie ich wszystkich, i to

w dużej mierze dzięki Gorbaczowowi, którego wówczas tak gorąco oklaskiwali?

W ciągu kilku najbliższych lat po tym zjeździe biuro PAP w Moskwie było mimowolnym świadkiem walk toczących się w PZPR między „liberałami” i partyjnym betonem. W zależności od tego, kto w danym momencie brał górę, dostawaliśmy polecenie, aby dawać więcej materiałów pierestrojkowych, ostrych, „z jajami”, albo przeciwnie – zarzucano nam antyradzieckość.

Mieliśmy na to swój sposób. Trzeba było zapomnieć o ambicjach korespondenta i zamienić się w tłumacza. Początkowo tłumaczyliśmy w całości lub w obszernych omówieniach tylko najważniejsze publikacje i wypowiedzi, ale miarę jak pierestrojka się rozkręcała, było ich wciąż więcej i więcej. Tak pisały „Prawda”, „Izwestia”, „Moskowskaja Prawda”, „Moskowskije Nowosti”, „Ogoniok” i „Litieraturnaja Gaziet”, tzw. *tołstyje żurnaly*: „Nowyj Mir”, „Znamia”, „Oktiabr”, „Woprosy Litteratury”, a nawet „Woprosy Fikosofii” oraz „Woprosy Istorii KPSS”, nie mówiąc już o organie teoretycznym KPZR – „Kommunist”. A z organami „starszego brata” nie wypadało polemizować... Raz zdarzyło się, że nasz PAP-owski stażysta przesłał do centrali materiał o tym, jak to w stolicy światowego komunizmu zafaszowane są wszystkie mapy Moskwy i nawet adres Kremla objęty jest klauzulą tajności. Ponieważ akurat w Warszawie górę brał beton, następnego dnia zrobiła się awantura. Zarzucono nam antyradzieckość i grożono odwołaniem – dopóki nie okazało się, że tekst jest po prostu omówieniem artykułu z „Moskiewskiej Prawdy”, organu Komitetu Miejskiego KPZR.

W sumie do uważnego przejrzania było codziennie około dwudziestu tytułów plus pakiet tygodników i miesięczników (z dziedziny kultury, nauki i polityki), do tego prasa kilkunastu republik związkowych, również coraz ciekawsza. Każde nasze omówienie czy tłumaczenie trafiało do centrali PAP w Warszawie i najczęściej było publikowane w „Biuletynie Specjalnym”, który ukazywał się w nakładzie kilku tysięcy egzemplarzy i trafiał

do wszystkich ważniejszych urzędów i redakcji. Od Adama Michnika wiem, że był czytany również przez opozycję. Uważnym czytelnikiem był podobno gen. Jaruzelski. Opowiadał mi jeden z pracowników jego sekretariatu, że zaznaczał ołówkiem co ciekawsze i ostrzejsze materiały, rozsyłał je do pozostałych członków Biura Politycznego i Sekretariatu KC PZPR z adnotacją, aby się z nimi zapoznać...

### Lekcja Czarnobyła

Entuzjazm po wybraniu nowego genseka dość szybko zaczął jednak mijać. Przede wszystkim w samej partii. Aparat w znacznej części liczył na to, że po XXVII Zjeździe – kiedy wygłoszono wiele płomiennych mów o potrzebie odnowy i przebudowy, o *glasnosti* (jawności), która stawała się nowym słowem wytrychem, i o niesprawiedliwości przywilejów dla bonzów partyjnych – otworzą się nowe drogi do awansu, blokowanego dotąd przez partyjną gerontokrację. Teraz poczuł się rozczarowany.

Stopniowo pogarszały się również nastroje społeczeństwa, które wprawdzie nadal zachwycało się młodym przywódcą, cieszyło się z pierwszych oznak „odwilży” i *glasnosti*, kiedy zaczęły się ukazywać zakazane dotąd książki, a w prasie krytyczne publikacje, ale jednocześnie przekonywało się na własnej skórze, że życie jest coraz trudniejsze.

To była lekcja również dla nowego kierownictwa ZSRR (ciągle jeszcze wewnątrznie spójnego), które mogło się teraz przekonać, że nie wystarczą same hasła, choćby najśluszniesze, jeśli brakuje pomysłów na to, jak przełożyć je na język konkretnych. Zwłaszcza jeśli ich potencjalni autorzy w żaden sposób nie potrafią uwolnić się od ideologicznych dogmatów. Powstaje więc w miarę sensowna ustawa o kooperatywach, po raz pierwszy dopuszczająca prywatną przedsiębiorczość, a niemal w tym samym czasie pod hasłem walki z dochodami niepochodzącymi z pracy wprowadza się surowe restrykcje na tego typu działalność. Tworzyło

to wrażenie chaosu. Do tego gospodarka wyraźnie słabła. Na posiedzeniu Biura Politycznego w lipcu 1986 r. wprost już mówiono o groźbie zawalenia się planu rocznego, o trudnej sytuacji rolnictwa i konieczności zwiększenia importu ziarna. A także o rosnących stratach radzieckiej gospodarki (9 mld rubli) z powodu spadku cen ropy naftowej. Jeszcze jesienią 1985 r. kosztowała ona 175 rubli za tonę, a w lipcu 1986 r. – już tylko 52 ruble, z tendencją spadkową do 40 rubli.

Najtrudniejszą lekcję ekipie pierestrojki zgotował wówczas los; była nią katastrofa w Czarnobylu. Pierwszy, lakoniczny komunikat TASS o awarii w elektrowni atomowej opublikowano na trzeci dzień po tragedii, a dopiero po dziesięciu dniach zdecydowano się na pełniejsze poinformowanie opinii publicznej o tym, co rzeczywiście stało się w Czarnobylu.

W swoich pamiętnikach Gorbaczow pisze, jak wściekły był wówczas na „atomistów”, którzy ukrywali przed nim rzeczywisty stan radzieckiej energetyki jądrowej, chroniąc się za pieczęcią „ściśle tajne”. W rezultacie, działając według zasad stosowanych w ZSRR, gdy każda większa katastrofa była ukrywana i przemilczana – zaczął ponosić olbrzymie straty propagandowe. I za granicą, i w kraju. Zrozumiał, że popełnił błąd; ukrywając prawdę, stał się zakładnikiem starych porządków. Zmienił więc politykę i stopniowo znosił blokady informacyjne, ale osad pozostał.

Na to wszystko nakładał się rosnący opór kompleksu wojenno-przemysłowego, który wprawdzie na starcie poparł Gorbaczowa i jego ekipę, ale teraz z coraz większą irytacją przyjmował inicjatywy pokojowe nowych władz radzieckich. Nie mówiąc już o ujawnieniu rzeczywistych rozmiarów radzieckich wydatków wojskowych i pomysłach, aby część zakładów przemysłu zbrojeniowego przestać na produkcję cywilną, najlepiej – towarów powszechnego użytku.

Andriej Graczow ma rację, gdy pisze w swojej biografii Gorbaczowa, że był to krytyczny moment pierestrojki. Wobec oporu kompleksu wo-

jeno-przemysłowego i rosnącego niezadowolenia nomenklatury, która przez dziesięciolecia wypracowała sposoby blokowania i kastrowania najbardziej słusznych przedsięwzięć reformatorskich, jeśli tylko godziły w jej interesy – Gorbaczow miał do wyboru dwie możliwości. Mógł jak Breżniew przestać na kosmetycznych zmianach i rządzić aż do śmierci albo szukać oparcia w społeczeństwie, zmobilizować go i włączyć w proces pierestrojki.

Wybrał to drugie. Zdawał już sobie sprawę, że bez reform systemowych, zmiany mechanizmów, demokratyzacji państwa i reformy politycznej nie uda mu się przełamać oporu „sił zastoju” i zrealizować jego wizji pierestrojki, tj. przebudowy systemu radzieckiego. Postanowił działać, wierząc, że będzie w stanie kontrolować cały proces, dawując wolność, nie dopuścić do wybuchu.

### Powrót Sacharowa

Sygnalem dla społeczeństwa miała być podjęta w październiku 1986 r. z inicjatywy Gorbaczowa decyzja o uwolnieniu z łagrów wszystkich więźniów politycznych (to wtedy odzyskał wolność Siergiej Kowaliov) i późniejsza o miesiąc, ale jeszcze bardziej spektakularna decyzja o zwolnieniu z zesłania w Gorkim (dziś Niżnyj Nowgorod) Andrieja Sacharowa. Któregoś dnia w jego gorkowskim mieszkaniu zjawili się ludzie, którzy nie pytając o nic, zainstalowali telefon. Potem telefon zadzwonił; sam Gorbaczow zaproponował powrót do Moskwy. 23 grudnia w radzieckiej stolicy witali Sacharowa przyjaciele ze środowisk dysydenckich. Nikt im nie przeszkadzał. W oficjalnych „Wremiach” (radzieckim dzienniku telewizyjnym) dali nawet o tym krótką informację.

W Centrum Prasowym MSZ zorganizowano konferencję prasową Sacharowa. Andriej Dmitriewicz mówił o swoim pobycie na zesłaniu i o tym, jak doszło do jego powrotu. Wyraźnie unikał ostrych wypowiedzi. Sprawiał wrażenie zagubionego i jakby niepewnego przyszłości, ale doceniał gest władz. Nic wówczas nie zapowiadało, że kilka miesięcy

później Sacharow stanie się duchowym przywódcą całej radzieckiej opozycji – najwyższym autorytetem i sumieniem Związku Radzieckiego, a Gorbaczow ordynarnie przegoni go z trybuny parlamentu.

A skoro już mowa o Sacharowie... Późną jesienią 1989 r., krótko przed wizytą w Moskwie premiera Tadeusza Mazowieckiego, z Jurkiem Malczykiem, moim ówczesnym PAP-owskim partnerem, poprosiliśmy Sacharowa o wywiad. Rozmowa wyglądała mniej więcej tak: – Wybaczcie, ale nie mam czasu. Nie mogę. – Ale chodzi o wizytę naszego Mazowieckiego. – No to najwyżej pół godziny. To naprawdę wszystko, co mogę wygospodarować. – Zgoda, ale mamy jedenaście pytań. Sacharow przyjął nas w swoim mieszkaniu przy ulicy Czkałowa, niedaleko Dworca Kurskiego. Rozmowa trwała 30 minut, co do sekundy. Odpowiedział na wszystkie nasze pytania i to tak, że nie było ani jednego zbędnego słowa. Nigdy wcześniej ani potem nie spotkałem rozmówcy o tak żelaznej dyscyplinie intelektu.

W tym samym mniej więcej czasie, wykorzystując gorącą dyskusję, jaka rozgorzała po publikacji w „Komsomolskiej Prawdzie” artykułu *Dzieci Dietoczkina* o masowo powstających poza strukturami KPZR organizacjach i klubach dyskusyjnych – postanowiono zapalić zielone światło dla tzw. nieformatów (jak wówczas nazywano te organizacje). Na naradzie z sekretarzami komitetów obwodowych Gorbaczow powiedział: „Jeśli partia nie stanie na czele procesów demokratyzacji, wówczas historia potoczy się według polskiego scenariusza, a młodzi pójdą do podziemia”.

### Uruchamianie żywołów

Okres od zjazdu do zwolnienia Sacharowa był bodaj najważniejszy. Wtedy właśnie Gorbaczow uruchamiał żywoły, nad którymi później nie był w stanie zapanować.

Graczow znakomicie opisuje ten mechanizm. Problem – pisze – polegał na tym, że poza generalnym kierunkiem (bo nawet nie zarysem) żadnego

planu reform właściwie nie było. W referacie programowym na XXVII Zjeździe KPZR, przygotowanym przez tak różnych ludzi tworzących pierwszą drużynę Gorbaczowa jak Ligaczow i Jakowlew, po mocno stonowanej krytyce przeszłości obiecywano jedynie „lepszy socjalizm” i więcej demokracji. Zapowiadano również „głębką rekonstrukcję gospodarki narodowej” i „więcej samodzielności dla przedsiębiorstw”. Takimi hasłami usiłowano uspokoić partyjnych strażników komunistycznej czystości. „Socjalistyczne państwo prawa” i „socjalistyczne prawa człowieka”, „pluralizm socjalistyczny” i „socjalistyczny rynek” – czyż nie brzmiało to pięknie? Choć było jawnym zaprzeczeniem jakiegokolwiek logiki, przynajmniej tej znanej z doświadczeń radzieckich. Dewiza – pisze Graczow – którą Gorbaczow, powołując się na Lenina, inspirował swoją ekipę i bronił się przed pojedynczymi krytykami, to jego „nie lękajcie się”, była w rzeczywistości biblijnym cytatem zapożyczonym od Jana Pawła II, o czym papież najpewniej wiedział.

Przełomowym okazał się 1987 r. i styczniowe plenum KC KPZR. Początkowo miało być ono poświęcone sprawom kadrowym, w istocie stało się początkiem rzeczywistej przebudowy, a tak naprawdę – demontażu radzieckiego systemu politycznego. I tak w leksykonie pierestrojki po plenum styczniowym pojawiło się nowe hasło: demokratyzacja, a potem „rewolucyjna pierestrojka partii”.

Gorbaczow chciał za pomocą demokratyzacji i jawności zwalczyć opór aparatu, wykorzystując rozbudzone społeczeństwo, które miało stać się jego najważniejszym sojusznikiem. Partię uspokajał, że wszystko odbywa się pod kontrolą, a zainicjowana przez niego rewolucja ma charakter odgórny. Nie wziął pod uwagę jednego: że społeczeństwo nie będzie chciało zadowolić się kontrolowaną wolnością, lecz zapragnie części władzy, której Gorbaczow nie był w stanie mu dać.

Zaczęło się niewinnie, od znoszenia kolejnych tabu w historii. Ale fala podnosiła się coraz wyżej. O „białych plamach” pisali wszyscy. I jeśli począ-



kowo przedmiotem krytyki były zbrodnie stalinizmu, to rychło dobrano się i do Lenina.

Pamiętam znakomity tekst *Istoki (Źródła)* Wasilija Sielunina opublikowany na łamach „Nowego Miru”. Jego obszernie fragmenty przesałem do Warszawy. Sielunin pisał o tym, jak po rewolucji bolszewickiej usiłowano nakazem administracyjnym zastąpić regulujące funkcje wyklętego rynku; jak Trocki udowadniał, że w społeczeństwie socjalistycznym obozy pracy są „przodującą formą jej organizacji”; o Leninie, który podpisał dekret o utworzeniu pierwszego komunistycznego łagru na Sołówkach. Dla obywateli radzieckich, dla których wódz światowej rewolucji przez całe pokolenia był świętą ikoną, możliwość przeczytania czegoś takiego w oficjalnym piśmie, a nie w samizdacie, była szokiem. Tak jak i książka *Innego nie dano (Innego nie dano)* pod redakcją Jurija Afanasjewa, rozpoczynająca całą serię publikacji rozliczających się z komunizmem.

To wówczas dokonana się eksplozja *glasnosti*, kiedy popularność poszczególnych tytułów mierzono już nie wielkością milionowych nakładów, lecz tempem ich znikania z kiosków. „Prawda” sprzedawała się w pół godziny, ale już „Moskowskije Nowosti” i „Ogoniok” były niedostępne po kilku, kilkunastu minutach. Jednocześnie ujawniały się pierwsze podziały polityczne w mediach. Reformatorskie i liberalne były kierowane przez Giennadija Jakowlewa „Moskowskije Nowosti”, „Ogoniok” Witalija Koroticza i „Litieraturnaja Gazeta”, a także miesięczniki „Nowyj Mir”, „Znamia” i „Druzba Narodow”, w których publikowano zakazane wcześniej powieści, w tym *Dzieci Arbatu* Anatolija Rybakowa. Po drugiej stronie znajdowały się betonowe, niekiedy nacjonalistyczne lub antysemickie: „Nasz Sowriemiennik”, „Moskwa”, „Młodajca Gwardia”, tygodnik „Sowietskaja Kultura”.

## Katyń

Wiosną 1987 r., gdy proces rozrachunkowy dopiero się rozpoczynał, robiłem dla „Polityki” wywiad

z Jurijem Afanasjewem, autorem pierwszych tekstów o konieczności wypełnienia „białych plam” w radzieckiej historii. Uważał, że cała prawda o zbrodniach stalinowskich powinna być ujawniona – także o zbrodni katyńskiej. Był pierwszym obywatelem radzieckim, który coś takiego powiedział głośno, a „Polityka” – polskim oficjalnym tygodnikiem, który to opublikował.

Z Katyniem było tak: co roku na Wszystkich Świętych jeździła tam ekipa z naszej ambasady, aby złożyć kwiaty i zapalić znicze. Najpierw robiono to bez większego szumu, później zabierano ekipę telewizyjną. W końcu, w 1988 r., rozpoczął się prawdziwy wyścig do Katynia. Kto pierwszy zostawi tam swój ślad: Kościół, który był nieoficjalnym przedstawicielem całej polskiej opozycji, czy PZPR, która na Katyniu chciała zarobić swoje punkty. Kościół wygrał.

Wiosną 1989 r. uczestniczyłem w uroczystości, gdy stawiano pierwszy krzyż, przywieziony z Polski na miejsce zbrodni. Właściwie trudno mówić o uroczystości; była to ciężka praca. Rosjanie zgodzili się na jego postawienie, a nawet przydzielili kilku żołnierzy do pomocy. Polska ekipa była nieliczna, ale dobrze przygotowana. Wszystko przywieźli z kraju, nawet wodę mineralną. Rosjanie myśleli, że chodzi o zwyczajny krzyż, drewniany, który wystarczy zakopać w ziemi. Tymczasem poza krzyżem przywieziono potężną konstrukcję, którą należało głęboko zabetonować w gruncie. – Aby nic więcej już się nie przytrafiło – mówili polscy robotnicy, dając jasno do zrozumienia, o jakie wichry i burze im chodzi.

Po całym dniu pracy krzyż był już osadzony na miejscu, za tablicą, która ciągle jeszcze informowała, że spoczywają tu ofiary zbrodni faszystowskich. Polski ksiądz odprawił mszę. Na „kobyłkach” położono kilka desek, przykryto je białym obrusem i tak powstał ołtarz z katyńskim krzyżem w tle. Było nas najwyżej kilkanaście osób. Słońce zachodziło. Modliliśmy się, klęczeliśmy przy Podniesieniu, a grupa przygodnych Rosjan przygładała się wszystkiemu w skupieniu. – Kilkaset

metrów dalej leżą nasi, zamordowani jak i wasi. Czy kiedykolwiek doczekają się swojego pomnika? – mówiła jedna z Rosjanek i nie wiadomo było, czy pytanie to kierowała do mnie, czy do samej siebie.

W 1989 r. w Katyniu miały się odbyć uroczystości religijne z udziałem prymasa Polski Józefa Glempa. Aby nie oddać pierwszeństwa, partia zaplanowała postawienie tablicy informującej, że w przyszłości stanie tu pomnik. Z kraju przywieziono kompanię honorową Wojska Polskiego, a ówczesny wiceminister obrony narodowej wygłosił przemówienie, które było kwintesencją partyjno-wojskowej propagandy i głupoty. Wynikało z niego, że Katyń i Lenino to symbole polsko-radzieckiego braterstwa broni!

Jaruzelski – nieważne, jakimi motywami się kierował – do końca zabiegał o oficjalne przyznanie się Moskwy do zbrodni katyńskiej i o radzieckie materiały z nią związane. Podczas jednej z wizyt w końcu lat osiemdziesiątych zabrał ze sobą Andrzeja Bilika z polskiej telewizji, który podobno miał już nawet przygotowany komentarz „katyński”. Ale Gorbaczow i tym razem nic nie powiedział. Dopiero prof. Natalii Lebidiewej udało się dotrzeć do dokumentów wojsk konwojujących, z których niedwuznacznie wynikało, kto jest rzeczywistym sprawcą zbrodni popełnionej na polskich oficerach, a ówczesny sekretarz KC KPZR Aleksandr Jakowlew – nie zważając na opór towarzyszy – postanowił, że trzeba je ujawnić. Same materiały katyńskie, które przez cały ten czas leżały w sejfie Gorbaczowa, przekazał Lechowi Wałęsie dopiero prezydent Jelcyn.

W swoich pamiętnikach Gorbaczow próbuje wyjaśnić, dlaczego tak się stało. Jak twierdzi, kiedy po raz pierwszy pokazano mu teczek katyńskie, były w nich tylko materiały potwierdzające wersję oficjalną. Dopiero w grudniu 1991 r., na kilka dni przed jego ustąpieniem, pracownicy archiwum skłonili go, aby zapoznał się z zawartością jednej z teczek, chronionych w specjalnych zbiorach. Gorbaczow pisze, że obejrzał ją dokładnie, gdy już przygotowywał się do przekazania władzy Jelcy-

nowi; umówili się wówczas, że dokumenty przekaże Warszawie prezydent Rosji. Jelcyn zwlekał jeszcze rok.

Na początku 1992 r. tę samą wersję Gorbaczow przedstawił w wywiadzie, który robiłem z nim dla dziennika „Rzeczpospolita”. Wówczas mnie nie przekonał.

## Narodziny opozycji

Wróćmy do 1987 r. Latem dokonano kolejnego kroku. Zgodnie z zaleceniami Gorbaczowa w Moskwie odbył się pierwszy kongres nieformatów – owych organizacji i klubów społecznych, które stanowiły załóżek opozycji i przyszłych partii politycznych. W samej radzieckiej stolicy było ich już około 150–200. Robiłem wówczas wywiad z rzecznikiem prasowym kongresu, znanym dziś politologiem Glebem Pawłowskim. Był wówczas współzałożycielem Klubu Inicjatyw Społecznych. – Chcemy – mówił – aktywnie uczestniczyć w życiu społeczno-politycznym ZSRR, zachowując jednak niezależność i broniąc własnych racji.

Na wywiad zaprosiłem go do domu. W mieszkaniu „dla cudzoziemców”, pilnowanym 24 godziny na dobę przez policjantów i naszpikowanym „pluskami”, Pawłowski dowodził, dlaczego Gorbaczow skazany jest na przegraną. Pomylił się tylko co do terminu. Nie przewidział też rozpadu ZSRR. Ale wówczas nikt jeszcze o tym nie myślał.

Większość nieformatów opowiadała się za pierestrojką i deklarowała wsparcie dla radykalnego skrzydła przebudowy. Niektóre, jak moskiewska Pamiąt', łączyły poparcie dla pierestrojki z głoszeniem czarnosecinnych, antysemickich haseł (co spotykało się z sympatią sporej części radzieckiego aparatu). Ale już wówczas część ich działaczy, np. Borys Kagarlicki z Klubu Inicjatyw Społecznych, otwarcie deklarowała, że gotowa jest stanąć do wyborów parlamentarnych. Ruch ten, przybierający na sile w latach 1986–1988 i korzystający (na polecenie „z góry”) ze wsparcia struktur partyjnych, powstawał bez żadnego związku z wcześ-

niejszą opozycją radziecką – środowiskiem dysydenckim. Więcej, emigracyjni dysydenci, a także przytłaczająca większość działaczy ruchu obrony praw człowieka – tych, którzy pozostawali jeszcze w ZSRR – odnosiła się do nieformalów z olbrzymią rezerwą lub wręcz wrogością. Dla nich pierestrojka była jedynie rodzajem kamuflażu, maską dla totalitaryzmu, zakładaną przez „góre” KPZR jedynie po to, by po raz kolejny oszukać Zachód. Uważali, że naprawdę chodzi wyłącznie o usprawnienie, a więc i umocnienie mechanizmów totalitarnego państwa – bez zmiany jego istoty.

Zapewne dlatego w pierwszym okresie ruch dysydencki nie miał żadnego wpływu na rodzącą się opozycję radziecką. Andriej Sacharow, a także nieliczni inni, tacy jak Michał Gefter, którzy wykorzystywali jako trybunę pismo „Wiek XX i Mir” (wydawane przez oficjalny Radziecki Komitet Obrońców Pokoju), byli pod tym względem wyjątkiem. Zaczęło się to zmieniać dopiero na początku 1989 r., gdy rozpoczęły się wybory kandydatów na I Zjazd Deputowanych Ludowych, ale inicjatywa polityczna należała już do kogo innego.

Podczas gorącego lata 1987 r. wszystko to – pojawienie się legalnej opozycji i perspektywa zniesienia artykułu 6 konstytucji, gwarantującego monopolistyczną pozycję KPZR – wydawało się jeszcze mrzonką. Ale historia znów przyspieszała. Zaczynał się najbardziej gorący okres pierestrojki, kiedy radzieckim imperium zaczęły wstrząsać coraz potężniejsze konwulsje.

Jawność – pisze Gracow – była Gorbaczowowi bardzo na rękę, ponieważ wykorzystywał ją jako narzędzie demokratyzacji i liczył, że przekształci pierestrojkę w prawdziwą rewolucję. Dodajmy: dość szczególną. Jego pierestrojka – jak sam deklarował – miała być „rewolucyjna w treści i reformistyczna w formie”, do tego realizowana w sposób ewolucyjny. W Rosji, tradycyjnie miotającej się między anarchicznym buntem i despotyzmem, nie miało to większych szans powodzenia. Zachód mógł chwalić go za rozsądek, za podjętą próbę pójścia w stronę liberalizmu, podczas gdy

dla samych Rosjan był po prostu politykiem naiwnym.

Rok, który zaczął się pod hasłem demokratyzacji, kończył się konfliktem z Jelcynem. Zdobywał on miłość mieszkańców stolicy jako sekretarz Moskiewskiego Komitetu KPZR niestandardowymi posunięciami. Budował swój wizerunek przeciwnika aparatu, „sekretarza-Robin Hooda”. Do starcia doszło podczas plenum październikowego, na którym rozpatrywano projekt referatu na siedemdziesiątą rocznicę rewolucji październikowej. Stosunki wewnątrz rządzącej nomenklatury stały się coraz bardziej napięte – pisze Jakowlew. Na posiedzeniach plenarnych KC coraz częściej dochodziło do starć między zwolennikami i przeciwnikami pierestrojki. Sam referat był maksymalnie wyważony. Zawierał surową ocenę stalinizmu, wskazywał konieczność dalszej demokratyzacji, ale jednocześnie mówił o potrzebie działań ewolucyjnych. Jelcyn natomiast zaatakował Gorbaczowa za konserwatyzm, hamowanie wielu reform i domagał się radykalizacji pierestrojki. W wielu kwestiach miał rację, ale swoim radykalizmem zadał cios taktyce Gorbaczowa. Jego wystąpienie rządząca elita przyjęła jako ostrzeżenie, że wcześniej czy później będzie musiała się politycznie określić, z kim i dokąd pójdzie. Od Gorbaczowa zażądano ukarania Jelcyna, a potem wciągnięto go w walkę z Borysem Nikołajewiczem. W 1988 r. podczas XIX konferencji KPZR Jelcyn pokajał się i prosił o rehabilitację, ale jego prośba pozostała bez odpowiedzi. Stenogram z plenum KC, na którym zdymisjonowano Jelcyna, ukazał się z wielomiesięcznym opóźnieniem. Był to błąd. Nie zawierał niczego, co usprawiedliwiłoby legendę. Jelcyn był na tym plenum raczej żalony niż bohaterski, ale powstałe wokół niego mity pozwoliły mu stanąć na czele anty-Gorbaczowowskiej opozycji.

### Początek końca

Jazda w dół zaczęła się w 1988 r., uważanym za przełomowy w historii pierestrojki. Po pierwsze

ruszyła kampania na rzecz reformy politycznej, co ostatecznie – choć jeszcze wówczas nie zdawano sobie z tego sprawy – miało doprowadzić do demontażu systemu komunistycznego. Po drugie samo imperium zaczęło trzeszczeć w szwach, gdy zaczęły eksplodować problemy narodowościowe, z którymi władze radzieckie nie potrafiły sobie poradzić.

W 1988 r., krótko po wizycie w Stanach Zjednoczonych (grudzień 1987 r.), która pobiła rekordy gorbomanii, Michaił Siergiejewicz ciągle jeszcze był na fali, ale już pojawiły się pierwsze rysy. Był kochany i podziwiany przez zagranicę i coraz bardziej nie lubiany u siebie w kraju. Za żonę Raisę, wtrącającą się do polityki, za swój europejski wygląd i manieri, odbiegające od klasycznego rosyjsko-sowieckiego modelu cara i genseka, wreszcie – za gadulstwo i nieustające lawirowanie, odbierane jako dowód jego słabości.

Co najważniejsze, chaotyczne reformy nie przynosiły żadnych efektów, były zresztą skutecznie blokowane przez aparat partyjno-państwowy. Zwłaszcza gdy okazało się, że przygotowany latem 1987 r. projekt szerokiej reformy gospodarczej przewiduje odejście od administracyjnych metod zarządzania gospodarką i zastąpienie ich mechanizmami „towarowo-pieniężnymi” (słowa rynek nadal bano się użyć). Oznaczało to koniec monopolu władzy kadry kierowniczej, więc przy pierwszej okazji, kiedy tylko wspomniano o „korekcie” cen chleba i zaczęły się protesty społeczne, reformę zawieszono na kołku.

Coraz goręcej było również wokół wyjścia żołnierzy radzieckich z Afganistanu. Wprawdzie już na XXVII Zjeździe KPZR sugerowano konieczność wycofania się z afgańskiej awantury, ale dopiero teraz się zastanawiano, jak zakończyć wojnę, aby nie stracić twarzy i nie przyznać się do błędu, a jednocześnie aby – jak mówił Gorbaczow na jednym z posiedzeń Biura Politycznego – „Ameryka nie rozmieściła tam swoich baz”.

Podczas wizyty w Stanach Gorbaczow próbował załatwić to z Reaganem. Chciał, aby Amery-

ka wstrzymała pomoc dla mudżahedinów. Reagan jednak odmówił, domagając się, aby najpierw Moskwa określiła datę wycofania swoich wojsk. ZSRR zrobił to kilka miesięcy później. 15 maja 1988 r. pierwsze jednostki opuściły Afganistan, ale cały proces rozłożono na wiele miesięcy; ostatni żołnierze radzieccy wyszli z Afganistanu dopiero 15 lutego 1989 r. W Związku Radzieckim na fali *głasności* narastała jawna krytyka tej „brudnej wojny”. Pisano o okolicznościach bezsensownej decyzji o rozpoczęciu wojny, o tragicznych losach radzieckich żołnierzy, którzy przeszli przez afgańskie piekło, o tysiącach jego ofiar.

Gorbaczow tymczasem pokonywał kolejne bariery wyznaczone przez logikę alfabetu. Mnożył idee, odchodząc od komunizmu i zmierzając w stronę socjaldemokracji. Graczow nie pisze tego wprost, ale myślę, że zgodziłby się z tezą, że był to jeden z głównych powodów porażki jego bohatera. W myśl nowych koncepcji Gorbaczowa pierestrojka miała stać się rewolucją wszystkich i wszystkiego. Chciał on odpaństwić partię, później odpartyjnić państwo, a wszystko to z tymi samymi ludźmi, z którymi zaczynał, zupełnie nie dostrzegając, że są już głęboko podzieleni. Narastał konflikt interesów i ideologii, a nie tylko – jak wcześniej – ambicji i emocji. Gdyby Gorbaczow przyjął do wiadomości ostrzeżenia Walentina Fallina, mówiącego o dwóch partiach w łonie KPZR, gdyby otwarcie wówczas wystąpił i zgodził się na to, aby podzielić KPZR na część „białą” – socjaldemokratyczną, budowaną z dołów partyjnych, oraz „czerwoną” – komunistyczną, tworzoną przez aparat i partyjny beton, miałyby szansę na przetrwanie. Nie zrobił tego i musiał przegrać. „Białych” stracił na rzecz Jelcyna, a zaufania „czerwonych” nigdy nie odzyskał. W końcu okazał się niepotrzebny i jednym, i drugim.

### **Kierunek: reforma polityczna**

W coraz trudniejszej sytuacji społecznej i ekonomicznej architektki pierestrojki szukali ratunku

w ucieczce do przodu – w reformie politycznej. Czas był najwyższy. W marcu 1988 r. na łamach prasy radzieckiej ukazał się głośny list Niny Andriejewej z Leningradu, zatytułowany *Nie mogę wyrzec się zasad*, w którym – posługując się językiem stalinowskim – broniła komunistycznych pryncypiów. Był to atak na pierestrojkę, swego rodzaju manifest betonu partyjnego, za którym stał Jegor Ligaczow – formalnie drugi w KPZR po Gorbaczowie.

To na jego polecenie, pod nieobecność Gorbaczowa i Jakowlewa, którzy przebywali z wizytą w Jugosławii, tekst Andriejewej przedrukowano w głównych organach partyjnych, co powszechnie uznano za sygnał do odwrotu. Po powrocie Gorbaczowa z Belgradu odbyło się dwudniowe posiedzenie Biura Politycznego i Sekretariatu KC, jednogłośnie na najwyższych szczeblach władzy została przywrócona, ale nikt nie miał wątpliwości co do jej wymuszonego charakteru. I rzeczywiście – od tego momentu kierownictwo partyjne było coraz bardziej podzielone, choć jeszcze długo Gorbaczowowi udawało się lawirować między dwoma oddalającymi się od siebie skrzydłami.

W 1988 r. siły starczyło jeszcze na doprowadzenie do XIX Konferencji KPZR. Dziś nie brak krytyków, że była ona błędem; że Gorbaczow powinien doprowadzić do nadzwyczajnego zjazdu partii, dokonać niezbędnych zmian kadrowych i nadać pierestrojce nowy impet. Ale i te zmiany, które wówczas przeforsowano w ramach ewolucyjnej przebudowy systemu politycznego, miały w istocie rewolucyjny charakter. Nowe hasło brzmiało: odpaństwić partię, co sprowadzało się do oddania radom władzy wykonawczej, którą dotąd sprawowały komitety partyjne. Sekretarzy chytrze przekonano, że mogą umocnić swoją legitymację, jeśli połączą w jednym ręku funkcje partyjne ze stanowiskiem przewodniczącego rady. Tyle że najpierw będą musieli się poddać procedurze wyborczej...

Delegaci na XIX Konferencję KPZR zaakceptowali te zmiany oraz główne kierunki reformy konstytucyjnej, zakładającej wprowadzenie wolnych

wyborów, do których kandydatów mogły zgłaszać nie tylko (jak dotąd) struktury partyjne, a także rozszerzenie uprawnień organów przedstawicielskich (rad). Co najważniejsze jednak – postanowiono zmienić strukturę władz najwyższych ZSRR. Od tej pory stanowić je miały Zjazd Deputowanych Ludowych i Rada Najwyższa ZSRR oraz powołany do życia urząd prezydenta ZSRR.

Z punktu widzenia ideologicznego był to powrót do tradycji Października, ale w praktyce oznaczało to całkowitą zmianę systemu. Gorbaczow niestety nie potrafił posunąć się o krok dalej. Dokonując faktycznej rewolucji, nadal wierzył, że uda mu się przeprowadzić wszystko w sposób ewolucyjny. Tak jak ostrzegał go Fallin i przekonywał Jakowlew – nie zdobył się na zbudowanie wokół siebie własnej partii i nadal sądził, że uda mu się zjednoczyć wszystkich. Choć już wtedy, przy pozorach jedności, było to niemożliwe.

### Imperium trzeszczy w szwach

Rok 1988 przyniósł nowe kłopoty narodowościowe, które dotychczas ignorowano. Sygnałem ostrzegawczym, zbagatelizowanym w Moskwie, były wydarzenia w Ałma Acie z końca 1986 r. Gorbaczow zmienił wówczas sekretarza Komunistycznej Partii Kazachstanu, ale zamiast Kazacha na zwolnione stanowisko powołał Rosjanina. To spowodowało wielotysięczne demonstracje w Ałma Acie; interweniowała milicja, padli zabici i ranni. Latem 1987 r. koło Kremla pojawili się demonstrujący Tatarzy Krymscy, niegdyś deportowani przez Stalina, którzy domagali się powrotu na Krym.

Bliscy współpracownicy Gorbaczowa twierdzą, że zamierzał on zająć się reformą Związku Radzieckiego oraz relacjami między republikami i centrum, ale dopiero po pomyślnym zakończeniu etapu politycznego i gospodarczego. Wydarzenia nie chciały czekać. Co więcej, to przeciwnicy Gorbaczowa – z prawa i z lewa – dostrzegli potencjał polityczny w „czynniku narodowościowym” i wykorzystali go w swojej walce z gensekiem.

Zaczął się niewinnie. W republikach powstawały organizacje Frontów Narodowych. Początkowo były to ruchy poparcia pierestrojki i przez kilka pierwszych miesięcy ich nazwę tłumaczyliśmy jako Fronty Ludowe, zanim nie podniosły haśleń niepodległościowych. W państwach bałtyckich dyskusję nad reformą gospodarczą postanowiono poszerzyć o postulat, aby zasada rozrachunku gospodarczego była stosowana również w relacjach między republikami i centrum. Chodziło o przyznanie republikom autonomii gospodarczej. Jednocześnie na Litwie, Łotwie i w Estonii coraz częściej żądano krytycznej oceny paktu Ribbentrop-Mołotow, a niedługo później zaczęto mówić o suwerenności.

O wiele bardziej gorąco było na południu. W lutym 1988 r. w Stepanakercie, stolicy Górskiego Karabachu, autonomicznego obwodu Azerbejdżanu, zamieszkanego głównie przez Ormian, zaczęły się demonstracje ludności domagającej się przyłączenia do Armenii. Miejskowa rada przegłosowała stosowną decyzję. Równocześnie rozpoczęła się seria wieców poparcia i demonstracji w Erywanie. Zmiana szefów partyjnych w obu republikach, wkraczających już w otwarty konflikt, niczego nie rozwiązała. Wiece i demonstracje trwały nieprzerwanie. W Baku pojawili się pierwsi azerscy uciekinierzy z Armenii. 25 lutego w Sumgaicie, kilkadziesiąt kilometrów od Baku, doszło do pogromu mieszkających tu Ormian. Zginęły 32 osoby, około czterystu zostało rannych.

Władze w Moskwie sprawiały wrażenie kompletnie zaskoczonych. Nie chciały skorzystać z rady starego Gromyki, który przypominał, jak problem rozwiązałiby poprzednicy Gorbaczowa (posłałiby wojsko). Moskwa się na to nie zdecydowała, nie tym razem. Do Karabachu, Armenii i Azerbejdżanu wysłano doświadczonego Arkadija Wolskiego, aby załagodził konflikt, ale bez powodzenia. Konflikt, który doprowadził do działań wojennych między Armenią i Azerbejdżanem, trwa do dzisiaj.

Rok później doszło do kolejnego kryzysu, tym razem w Gruzji. W nocy z 8 na 9 kwietnia 1989 r.

wojsko i jednostki MSW krwawo rozprawiły się z demonstracją Zwiada Gamsachurdii, którego zwolennicy żądali odłączenia się Gruzji od ZSRR i likwidacji autonomii Abchazji. Do rozpręczenia manifestacji użyto podobno wojskowych sapek. Zginęło dziewiętnaście osób, głównie kobiet, a kilkaset zostało rannych. To spowodowało kryzys polityczny w samej Moskwie. Ponieważ do tragedii doszło pod nieobecność Gorbaczowa, który właśnie wracał z Londynu, postanowiono przeprowadzić dochodzenie, kto wydał decyzję o użyciu wojska. Ustalenia specjalnej komisji parlamentarnej pod kierownictwem Szewardnadzego wskazywały na Jegora Ligaczowa, ale on też miał alibi.

Te wydarzenia (bynajmniej nie ostatnie, bo w styczniu 1990 r. krew się połała jeszcze w Azerbejdżanie, w 1991 r. – na Litwie, w międzyczasie doszło do rzezi Turków Meschetyńskich w Ferganie) tworzyły tło trwającej w kraju kampanii wyborczej przed I Zjazdem Deputowanych Ludowych. W marcu 1989 r. odbyły się wybory, organizowane już zgodnie z nowymi zasadami, które łamały dotychczasowy monopol KPZR, przyznając prawo zgłaszania swoich kandydatów także organizacjom społecznym i instytucjom publicznym, np. Akademii Nauk ZSRR (to z jej listy startował Andriej Sacharow).

Wybory wprawdzie wygrali komuniści, ale przegrał aparat partyjny. Już w przedbiegach odpadło około trzydziestu sekretarzy różnych szczebli, którzy musieli ustąpić miejsca albo działaczom zupełnie nieznanym, albo takim kandydatom jak Sacharow, Galina Starowojtowa, Jurij Afanasjew, no i oczywiście Borys Jelcyn, który dostał w Moskwie prawie 85 proc. głosów i triumfalnie wracał na scenę polityczną – od razu w jednej z głównych ról.

Uroczyste otwarcie zjazdu zepsuła tragedia w Gruzji, ale i tak było to coś zupełnie nowego, wcześniej nie do pomyślenia. W Moskwie ludzie chodzili z radiami tranzystorowymi przy uszach, śledząc przebieg dyskusji. Pierwsze publiczne wystąpienia Sacharowa, Anatolija Sobczaka, wspierającego się na kulach Ilji Zastawskiego i Gawriła

Popowa oraz proceduralne spory z Gorbaczowem, który uczył się nowej roli demokracji i usiłował zapanować nad żywiołem parlamentarnym. A także zamieszanie przy wyborze Jelcyna do Rady Najwyższej ZSRR, w której znalazł się tylko dzięki temu, że nikomu wówczas nieznanemu deputowanemu z Omska Aleksiej Kazannik oddał mu swoje miejsce (w nagrodę w „nowej” Rosji został prokuratorem generalnym). Wszystko to ulica na gorąco komentowała i dyskutowała. W kolejkach do sklepów, w parkach i na przystankach autobusowych wybuchały typowo rosyjskie spory, w których jedni bronili Gorbaczowa i reform, inni zaś, wówczas jeszcze w mniejszości, opowiadali się po stronie „prawdziwych” komunistów. Dla obywateli radzieckich to była pierwsza lekcja elementarnej demokracji. I – patrząc dziś z dystansu – myślę, że dopiero w 1989 r., trzy lata po rozpoczęciu Gorbaczowowskiej pierestrojki, społeczeństwo radzieckie ostatecznie się obudziło.

### Quasi-parlament

Powołanie zjazdu nie było jednak dobrym pomysłem. Słuszna idea zbudowania w ZSRR prawdziwego systemu parlamentarnego została zrealizowana „po radziecku”. To był błąd, świadczący o tym, jak trudno było rządzącej wówczas ekipie oderwać się od komunistycznych dogmatów. Nawet Gorbaczowowi, który świadomy zagrożenia ze strony konserwatywnego aparatu, bojąc się, że w każdej chwili może podzielić los Chruszczowa – coraz bardziej kluczył i lawirował.

Projekt reformy konstytucyjnej szykowali Szachnazarow i Anatolij Łukjanow. Ale to ten ostatni wymyślił i przekonał Gorbaczowa do formuły zjazdu deputowanych, wprost nawiązującej do zjazdu rad z pierwszych lat rewolucji bolszewickiej, choć od początku – pisze Szachnazarow w swoich wspomnieniach – było wiadomo, że taka instytucja nie nadaje się do roli najwyższego organu ustawodawczego. Jego zdaniem gdyby wówczas stworzono prawdziwy parlament, można byłoby

działać bardziej ewolucyjnie i być może udałoby się wypracować jakiś mechanizm demokratycznej konkurencji politycznej. Jednak nic z tego nie wyszło. „Nigdzie na świecie nie ma Zjazdu Deputowanych Ludowych, a u nas będzie” – miał odpowiedzieć Gorbaczow. W rezultacie powstała hybryda, monstrum niezdolne do działania, które według Szachnazarowa od początku stało się wyłączenie trybuną opozycji z prawej i lewej strony.

Gdyby Gorbaczow zdecydował się wówczas na wprowadzenie prawdziwego systemu prezydenckiego (co planował), miałby jeszcze szanse zapanowania nad żywiołem, który rozlewał się już po całym imperium. Ale wycofał się z tego i przez najbliższy rok, być może decydujący, pozostawał w dwuznacznej sytuacji: genseka coraz bardziej podzielonej, ale ciągle jeszcze rządzącej partii, a jednocześnie przewodniczącego zjazdu. Występując w tej roli, tracił czas na łagodzenie napięć i sporów wybuchających wśród ugrupowań tworzących zjazd. Była tam nie tylko Międzyregionalna Grupa Deputowanych, której liderem (do śmierci w 1989 r.) był Andriej Sacharow, a później Borys Jelcyn – pierwsza w dziejach radzieckich legalna opozycja demokratyczna. Coraz bardziej podzieleni byli również deputowani wywodzący się z KPZR. Jeśli Gorbaczow liczył na to, że uda się utworzyć z nich jedną, posłuszną mu frakcję, to szybko przekonał się, jak bardzo się mylił. Na to wszystko nakładały się jeszcze podziały wśród deputowanych wybieranych w republikach związkowych, walczących o interesy swoich ojczyzn. Tak jak ci z republik bałtyckich, stawiający na porządku dziennym sprawę (wygraną zresztą) potępienia paktu Ribbentrop-Mołotow.

### Jesień ludów

Rok 1989 był przełomowy z jeszcze jednego powodu: był to rok pożegnania z imperium zewnętrznym. Już w listopadzie 1985 r. podczas pierwszego spotkania z przywódcami innych „baraków w obozie socjalistycznym” Gorbaczow dał im jasno do

zrozumienia, że więcej nie powinni liczyć na radzieckie czołgi. W Moskwie po dawnemu coraz to zjawiali się przedstawiciele bratnich partii, aby szukać poparcia, ale niczego nie mogli wskórać. Gorbaczow – jak wynika z jego pamiętników i wspomnień ówczesnych współpracowników – nie znosił Nicolae Ceaușescu, drażnił go Erich Honecker i właściwie jedynie Jaruzelskiego darzył sympatią.

Po strajkach w Polsce w 1988 r., obradach Okrągłego Stołu i przegranych przez PZPR wyborach czerwcowych nie zrobił niczego, aby przywołać do porządku polskich towarzyszy, co na pewno uczyniłby każdy z jego poprzedników. W swoich pamiętnikach *Życie i reformy* (*Жизнь и реформы*, Moskwa 1995) Gorbaczow obszernie cytuje przebieg kolejnych rozmów z Wojciechem Jaruzelskim. Na każdym kroku podkreśla, jak łatwo było im się porozumieć. Obaj wierzyli, że uda się zreformować system komunistyczny, a Polska do pewnego stopnia była dla Gorbaczowa poligonem doświadczalnym. Tak nawet zatytułował jeden z podrzdziałów pamiętników: *Polski poligon*. Z innymi towarzyszami było gorzej. Podczas kolejnych spotkań i wizyt tłumaczył im konieczność pierestrojki, kierunek zmian dokonywanych w ZSRR i namawiał, aby poszli w jego ślady. Ale chętnych – poza Jaruzelskim – raczej nie było.

W opublikowanych dokumentach z okresu pierestrojki, zebranych przez Anatolija Czerniajewa, Wadima Miedwiediewa i Gieorgija Szachnazarowa w książce *W Politbiuro CK KPSS* (Moskwa 2006) znaleźć można ciekawą notatkę: po jednym ze spotkań w gronie przywódców państw Układu Warszawskiego Gorbaczow w prywatnej rozmowie z gen. Jaruzelskim bardzo krytycznie wypowiadał się o niechęci innych sekretarzy do idei przebudowy i *glasnosti*. Jaruzelski miał wówczas powiedzieć: „to razem pociągnijmy ten wózek” (*tak, dawajcie wmiestie potianiem etu tielegu*)...

Po Polsce nadszedł w drugiej połowie 1989 r. sezon na aksamitne rewolucje w pozostałych krajach obozu. Nadciągała jesień ludów. I chociaż z try-

buny kolejnych plenów KC KPZR Ligaczow i inni reprezentanci partyjnego betonu bili na alarm, wzywali do zdecydowanych działań, krytykowali „oddawanie kolejnych pozycji światowego socjalizmu” oraz zarzucali Gorbaczowowi „zdradę komunistycznych przyjaciół ZSRR” – ten pozostawał obojętny. Doktrynę Breżniewa uważał za rozdział definitywnie zamknięty, a pozbawieni osłony radzieckich czołgów sojusznicy Moskwy padali jeden za drugim.

Lecz i w samym Związku Radzieckim sytuacja stawała się coraz bardziej gorąca. Pierestrojka wkraczała w okres przesilenia.

Pierwszą lekcję parlamentaryzmu Gorbaczow zdecydowanie przegrał. Członkowie partii komunistycznej, gdy tylko uświadomili sobie, że mandaty zawdzięczają sobie samym i swoim wyborcom, a nie Wydziałowi Organizacyjnemu KC, rozeszli się do dwóch przeciwstawnych obozów: albo do „prawdziwych” komunistów spod znaku Ligaczowa, albo do demokratów, coraz bardziej radykalnych. I u jednych, i u drugich można było spotkać ludzi w mundurach, z pagonami. Wcześniej coś takiego było nie do pomyslenia, teraz najlepiej świadczyło o dokonujących się podziałach. Już kilka miesięcy po wyborach 1989 r. Gorbaczow musiał uznać, że jego nadzieje na ożywienie KPZR poniosły porażkę. Odtąd – jak twierdzi Aleksandr Jakowlew – w stosunkach z partią jego głównym celem było „powstrzymywanie monstrum”. Aparat partyjny znakomicie to wyczuwał i przechodził na stronę stalinistów, tworząc na Zjeździe Deputowanych coraz bardziej agresywną, krytyczną wobec pierestrojki frakcję Sojuz.

Zawiedziona była jednak i nowa elita, która pojawiła się za Gorbaczowa i uwierzyła, że razem z nim ma szansę na realną władzę. On jednak nie spieszył się z ogłoszeniem nowego naboru, zwlekał i lawirował. Nawet jeśli taktycznie było to uzasadnione, to strategicznie przegrał. Rozpadająca się partia i partyjny beton widzieli w nim zdrajcę, podczas gdy radykałowie stale podnosili poprzeczkę; chcieli jak najszybciej pożegnać się



z totalitaryzmem i próbowali przeciągnąć go na swoją stronę. Nie rozumieli, że dla niego było to niemożliwe, bo straciłby kontrolę nad uruchomionym przez siebie procesem – pierestrojką, która w myśl jego założeń miała być „ewolucyjną rewolucją” – „refolucją”, jak lubił ją nazywać.

Rok 1990 zaczął się bardzo źle. Najpierw z inicjatywy Frontu Narodowego Azerbejdżanu zorganizowano serię demonstracji, ale jego liderzy stracili panowanie nad sytuacją i 13–15 stycznia przez Baku przetoczyła się fala antyormiańskich i antyrosyjskich pogromów. Ludzi wyrzucano przez okna, oblewano benzyną i podpalano. Gorbaczow długo zwlekał z wydaniem zgody na użycie wojska, bojąc się, że stworzy niebezpieczny precedens. W końcu jednak musiał podpisać stosowny dekret. 19 stycznia wojsko wkroczyło do akcji. Zginęło co najmniej 120 osób, a 700 zostało rannych. W tym samym mniej więcej czasie przyszedł cios z Litwy. XX Zjazd Komunistycznej Partii Litwy podjął decyzję o odłączeniu się od KPZR. Zwołane w tej sprawie w Moskwie nadzwyczajne plenum KC wydelegowało Gorbaczowa, aby pojechał do Wilna i przekonał litewskich towarzyszy, żeby się opamiętali. Niczego nie wskórał. Jego słynny dar przekonywania ujawnił swoje granice, a gwiazda Gorbiego zaczynała przygasać.

W kwietniu 1990 r. sejm litewski przyjął deklarację niepodległości. Niedługo potem w ślady Wilna poszły Ryga i Tallin. Zaczynało się to, co w Rosji nazwano „paradą suwerenności”. Moskwa niewiele mogła zrobić. Jedyne, na co było ją stać, to przyjęta przez Radę Najwyższą ustawa „O trybie rozwiązywania problemów związanych z opuszczeniem ZSRR przez republiki związkowe”. Przewidywała tryb rozwodowy tak skomplikowany, że w istocie niemożliwy do wypełnienia, pozostała więc prawem martwym.

### Ostatnie zwycięstwo

W samej Rosji ścierały się dwa obozy. Partyjny beton oskarżał Gorbaczowa, że jego polityka reform

prowadzi do rozpadu ZSRR. Z kolei obóz demokratyczny, którego liderem i autorytetem po śmierci Sacharowa stał się Borys Jelcyn – przeciwnie: zarzucał Gorbaczowowi brak zdecydowania w realizacji radykalnych reform politycznych i utrzymywanie przestarzałych struktur scentralizowanego państwa związkowego jedynie w celu umocnienia swojej władzy. Ten konflikt coraz częściej wylewał się na ulice Moskwy w wielusettyśnych demonstracjach organizowanych z inicjatywy opozycji demokratycznej. W środowisku tym coraz większą popularnością cieszył się pomysł na nowy Związek Radziecki, wedle którego trzeba się najpierw podzielić, aby znów się połączyć, ale na lepszych, bardziej demokratycznych zasadach. Wierzano, że jeśli Rosja uwolni się od ciężaru finansowania biednych republik z Azji Środkowej, w ciągu kilku lat wejdzie do grona najbardziej rozwiniętych państw świata.

Do ostrej walki doszło podczas I Zjazdu Deputowanych Ludowych RFSRR, gdy zdecydowano, kto zostanie przewodniczącym rosyjskiej Rady Najwyższej. Gorbaczow popierał Iwana Położkowa (kandydata aparatu partyjnego, który później został szefem krytycznej wobec pierestrojki Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej), ale tylko dlatego, aby nie dopuścić do wyboru Jelcyna. Przegrał, mimo że pojawił się na zjeździe (bez zapowiedzi), by poprzeć swego protegowanego.

Gorbaczow skupił się teraz na dokończeniu reformy politycznej. Aby umocnić swoją władzę, domagał się wprowadzenia instytucji prezydenta ZSRR, a jednocześnie postawił na porządku dziennym likwidację monopolu władzy KPZR i wykreślenie z konstytucji radzieckiej artykułu 6, gwarantującego kierowniczą rolę partii. Dopiął swego. W lutym 1990 r. KC KPZR wywiesił białą flagę, artykuł 6 został wykreślony z radzieckiej ustawy zasadniczej, a miesiąc później Zjazd Deputowanych wybrał Gorbaczowa na prezydenta ZSRR – pierwszego i zarazem ostatniego.

To był ostatni sukces Gorbiego, a i tak mocno iluzoryczny. Likwidacja monopolu KPZR niewiele

zmieniła, bo partia i tak już była na wpół martwa, a do tego działała już wówczas Komunistyczna Partia Federacji Rosyjskiej, skupiająca otwartych stalinistów. Z kolei prezydentura miała słaby mandat. Gorbaczow nie odważył się poddać próbie wyborów powszechnych; było to jego wielkim błędem – zwłaszcza w konfrontacji z Jelcynem. Co więcej, wybory na forum zjazdu ujawniły, że jego popularność w przyspieszonym tempie spada – zamiast spodziewanych głosów 96 proc. deputowanych otrzymał tylko 59 proc. Jego sytuacja była nie do pozazdroszczenia: został prezydentem, który formalnie skupił w ręku olbrzymią władzę, ale był pozbawiony narzędzi do kierowania państwem lub choćby skutecznego wpływania na dokonujące się procesy. Jako gensek miał przynajmniej KPZR i jej aparat, teraz zabrakło i tego. Zaczął więc szukać instytucjonalnych rozwiązań, aby uczynić swoją władzę sprawniejszą, ale w ten sposób tracił to, co wówczas było najcenniejsze: czas.

### Nadciągająca burza

W 1990 r. w Moskwie kipiało. Z każdym dniem przybywało niezadowolonych. Obywatele radzieccy uwierzyli, że z nastaniem pierestrojki stanie się cud i szybko złączą żyć jak na Zachodzie. Nic takiego się nie stało i stać się nie mogło. Gospodarka kulała coraz bardziej. Szachnazarow i Gorbaczow tłumaczyli to tym, że stracono co najmniej trzy lata na rozpoczęcie radykalnych reform ekonomicznych, które zresztą i tak w większości pozostały na papierze.

Był jeszcze jeden powód: Gorbaczow, zaabsorbowany reformami politycznymi, nigdy poważnie nie zajął się gospodarką. Kilka sensownych projektów reformatorskich schowano do szuflady. Za każdym razem, gdy napięcie polityczne rosło – a od pewnego momentu był to stan permanentny – ekonomika schodziła na dalszy plan albo ją poświęcano dla racji politycznych. To różniło Gorbaczowa od Deng Xiaopinga, który zaczynał chińską transformację od gospodarki, a nie od polityki

– twierdzi Graczow. Do dziś rosyjscy komuniści zarzucają mu, że nie poszedł chińską drogą, zapominając, że w przypadku ZSRR było to niemożliwe; jak powiedział Szewardnadze – bez dania ludziom wolności, bez zreformowania systemu politycznego o żadnej realnej reformie gospodarczej nie mogło być mowy. Po pierwsze nie pozwoliłaby na to nomenklatura partyjna i państwowa, po drugie – warto pamiętać o wydarzeniach na placu Tiananmen. Komunistyczny beton i pogrobowcy Stalina nieraz bezskutecznie nalegali na Gorbaczowa, aby zdecydował się na twarde działania w obronie komunistycznych pryncypiów. Gorbaczow – pisze Jakowlew – doświadczył tego, co wszyscy reformatorzy: reformy rozpoczęte choćby i z najszlachetniejszych pobudek tylko zapowiadają lepszą przyszłość, ale cudów nie czynią. W rezultacie zwiększają liczbę niezadowolonych, a często zwracają się przeciwko samym reformatorom.

Coraz liczniejsze demonstracje opozycji demokratycznej gromadziły w szczytowym okresie pół miliona ludzi. Zwykle zaczynały się koło Parku Gorkiego, potem maszerowano Sadowym Kolcem do dzisiejszej Twerskiej, następnie w dół, do placu Maneżowego. Wszystkie sąsiednie uliczki wypełnione były milicją i wojskiem, wystarczyła iskra, aby doszło do eksplozji. Jedną z takich demonstracji utkwiała mi w pamięci na zawsze. Tym razem wiec odbywał się w najszerszym miejscu Sadowego Kolca, na placu Zubowskim. Z trybuny, urządzonej na platformie ciężarówki, przemawiali przywódcy demokratów: Galina Starowojtowa, Siergiej Stankiewicz (ten sam, który za Jelcyna szukał azylu w Polsce), „nieprzekupny prokurator” Telman Gdlian, a także Jurij Afanasjew. Był też Jewgienij Jewtuszenko, który deklamował swój poemat napisany specjalnie na tę okazję; sens kolejnych strof był mniej więcej taki: za łagry, za głód i poniżenie – wybac nam, Rosjo. Gdy wiec dobiegał końca, jego przywódcy poprosili: wokół jest tyle milicji i KGB, nie dajcie się sprowokować. Rozejdźcie się w spokoju. Przez głośniki puszczono pieśń Bułata Okudżawy: „*wozmiomsa za ruki druzja, czto-b*

*nie propast' po odinoczkie"*, i kilkaset tysięcy ludzi rozplętnęło się w ciągu kilkunastu minut...

Gorbaczow zdawał sobie sprawę z tego, że w walce o popularność przegrywa z Jelcynem, a jego aparat, marzący o chińskiej drodze, gotów sprowokować jatkę – i niewiele mógł zrobić. Był gensekiem i prezydentem, skupił w rękę władzę porównywalną z władzą cara, a jednocześnie w wyniku swojej niekonsekwencji pozbawił się mechanizmów, dzięki którym dalej mógłby jednoosobowo kierować państwem.

Tymczasem wydarzenia goniły jedno za drugim. W czerwcu 1990 r. Zjazd Deputowanych Ludowych RFSRR, któremu przewodniczył Borys Jelcyn, przyjął deklarację suwerenności Rosji. Za jej przykładem podobne deklaracje przyjmowały kolejne republiki, nie tylko związkowe, ale także autonomiczne – Tatarstan, obie Osetie, a nawet takie nieformalne twory jak Naddniestrze. Nie chodziło już o suwerenność deklaratywną, ale jak najbardziej konkretną. Kazachstan ogłosił np. zakaz prowadzenia prób nuklearnych na poligonie atomowym w Semipałatyńsku, a Front Narodowy Mołdawii zapowiedział, że zamierza przyłączyć republikę do Rumunii. Państwo zaczynało pękać.

Kwestia narodowościowa, która wysunęła się na pierwszy plan, stała się znakomitym instrumentem w walce o władzę. Nie tylko między Gorbaczowem a Jelcynem, ale również między centrum a republikami związkowymi. Rządzące w nich elity partyjne, czując osłabienie władzy moskiewskiej, przejmowały hasła opozycyjnych dotychczas frontów narodowych, aby wytargować dla siebie więcej prerogatyw.

Wszystko to w dramatycznie pogarszającej się sytuacji gospodarczej, która w każdej chwili groziła potężnym konfliktem społecznym. Problemów nie rozwiązał XXVIII Zjazd KPZR – ostatni w jej kilkudziesięcioletniej historii – który zebrał się 2 lipca 1990 r. Dziś mało kto go pamięta, choć według Jakowlewa był ostatnią szansą na przejęcie przez Gorbaczowa inicjatywy i stworzenie partii socjaldemokratycznej z prawdziwego zdarzenia.

Namawiali go do tego „liberałowie”, którzy nawet zaczęli tworzyć struktury tzw. Platformy Demokratycznej w KPZR, ale Gorbaczow uznał to za zbyt radykalne i ryzykowne. Został ponownie wybrany na sekretarza generalnego KPZR, którą demonstracyjnie opuścił Borys Jelcyn, oddając na oczach milionów legitymację, a w ślad za nim inni. Podzielony zjazd nie był w stanie nawet przyjąć nowego programu partii, która w sposób oczywisty dla wszystkich kończyła swój żywot.

### Konserwatywny zwrot

Latem 1990 r. pod naciskiem najbliższych doradców Gorbaczow zgodził się na rozejm z Jelcynem. Obaj podpisali tzw. program pięciuset dni, przewidujący kolejną, już radykalną i całościową reformę gospodarczą. Jej podstawą miał być projekt przygotowany przez Stanisława Szatalina i Grigorija Jawlinskiego, popieranym przez Jelcyna.

Zgoda wytrzymała jednak tylko do jesieni. Napotykając frontalny opór ze strony premiera Nikołaja Ryzkowa i wicepremiera Leonida Abałkina, którzy zagrozili swoją dymisją, Gorbaczow wycofał się z tego pomysłu. To z kolei wykorzystał Jelcyn. Przystąpił do frontalnego ataku i zagroził, że Rosja może się oddzielić od ZSRR. Rozgorzała konfrontacja. Rada Najwyższa ZSRR przyjęła natychmiast ustawę potwierdzającą nadrzędność prawa związkowego nad republikańskim, a Rada Najwyższa RFSRR przegłosowała akt prawny niemal identycznej treści, tyle że stwierdzający nadrzędność prawa republikańskiego.

Ta otwarta wojna rosyjsko-radziecka została przegrana przez Gorbaczowa. Strukturę dawnego Związku Radzieckiego ktoś porównał do komunalki – wielkiego mieszkania sublokatorskiego, w którym każda republika zajmowała swój pokój, a Rosji przypadł w udziale tylko korytarz: długi, pozwalający nadzorować to, co dzieje się w mieszkaniu i decydować, kto pierwszy skorzysta z kuchni i wychodka, ale przecież niewygodny i nieodpowiadający ambicjom jego mieszkańców.

Atak – równoczesny z działaniami elit republikańskich, zabiegających o uzyskanie maksymalnej niezależności od centrum (do ogłoszenia niepodległości włącznie) – szedł z dwóch stron. Został wszczęty przez rosyjski beton partyjny i Ligaczowa, który zadając śmiertelny cios KPZR, doprowadził do utworzenia kontrolowanej przez siebie Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej, a także przez Jelcyna, który uświadomił sobie, że Związek Radziecki jest na wpół martwy i można jak najwięcej wyrwać dla siebie. Dla wszystkich tych sił, z republikańskim aparatem partyjnym włącznie, walka o przyszłość imperium stała się w istocie frontem walki o władzę.

Gorbaczow jednak się nie poddawał. W listopadzie 1990 r. przystąpił do kontrataku. Uznał, że jedynym ratunkiem będzie zwrot w stronę skrzydła konserwatywnego. Na posiedzeniu Rady Najwyższej ZSRR, gdy został poddany totalnej krytyce, w zaskakująco krótkim wystąpieniu przedstawił plan, który miał zapewnić wzmocnienie państwa. Rząd przekształcono w gabinet ministrów pod bezpośrednim kierownictwem prezydenta ZSRR, zwiększono uprawnienia Rady Federacji, złożonej z sekretarzy partii komunistycznych republik związkowych. Rozwiązano Radę Prezydencką, w której zasiadali zniechęceni przez konserwę „liberałowie”, a na jej miejsce powołano Radę Bezpieczeństwa.

Pod koniec roku zmiany te zostały wprowadzone w życie. Po likwidacji Rady Prezydenckiej z otoczenia Gorbaczowa zniknęli jego współpracownicy uważani za filary pierestrojki: Jakowlew, Szewardnadze, minister spraw wewnętrznych Wadim Bakatin i inni. Pojawili się natomiast nowi: m.in. Giennadij Janajew, Walentin Pawłow i Borys Pugo. Większość z nich zdradzi Gorbaczowa w dniach sierpniowego puczu.

## Rok 1991

Początek ostatniego roku w dziejach imperium radzieckiego był równie dramatyczny jak w roku

poprzednim. Wtedy było Baku, teraz Wilno i republiki bałtyckie. 11 stycznia 1991 r. na Litwie i Łotwie podjęta została próba obalenia legalnych władz. Oddziały wojsk wewnętrznych ZSRR zajęły w Wilnie budynek Domu Prasy, należący do Litewskiego Wydawnictwa KC KPZR. Podczas szturm i nocnych starć koło centrum telewizyjnego wojska desantowe użyły broni i czołgów. Zginęło czternaście osób, sto zostało rannych. Rzeczywista rola Gorbaczowa w tych wydarzeniach do dziś nie została wyjaśniona. Bo nawet jeśli przyjąć, że była to prowokacja, w którą został wmanewrowany przez szefa KGB Władimira Kriuczkowa i swoich nowych współpracowników, zwolenników rządów silnej ręki (tak twierdzą Szachnazarow i Jakowlew), to przecież tym razem – w odróżnieniu od wypadków w Tbilisi – o wszystkim wiedział i wszystko, przynajmniej początkowo, akceptował. Sytuację wykorzystał natomiast Jelcyn, który ze zbuntowanymi republikami bałtyckimi podpisał porozumienia faktycznie uznające ich niepodległość.

Kolejną inicjatywą Gorbaczowa podjętą dla ratowania jedności imperium było rozpisane na marzec ogólnonarodowe referendum, które miało odpowiedzieć na fundamentalne pytanie: czy jesteś za utrzymaniem Związku Radzieckiego? Odrąbiono wielki sukces, kiedy – zgodnie z oczekiwaniami – przytłaczająca większość uczestników referendum udzieliła odpowiedzi twierdzącej. Przemilczano jednak fakt, że sześć spośród siedemnastu republik odmówiło zorganizowania głosowania u siebie. A zgoda największej republiki, Rosji, była w istocie warunkowa. Referendum? Tak, ale z dodatkowym pytaniem: czy Rosjanie chcieliby utworzenia stanowiska prezydenta? Twierdząca odpowiedź była łatwa do przewidzenia, podobnie jak i zwycięzca zapowiadanych na wiosnę wyborów powszechnych. Jelcyn. Wygrał przytłaczającą większością głosów. Gorbaczow nie mógł już temu zapobiec.

Wszystko to nakładało się na coraz bardziej dramatyczną sytuację gospodarczą. Już wcześniej

Gorbaczow jeździł po świecie niczym komiwojazer, szukając wsparcia finansowego dla radzieckiej gospodarki. Gdy jednak w marcu 1991 r. rozpadł się Układ Warszawski, stracił ostatni argument w rozmowach z zachodnimi partnerami. Dwa miesiące później zjawił się w Londynie na szczycie G-7, aby prosić o pomoc. Potraktowano go grzecznie, ale odprowadzono z kwitkiem. Zachód bardziej niż radzieckich arsenałów nuklearnych bał się chaosu w ZSRR, a przestał wierzyć, że Gorbaczow zdoła go opanować. To był w istocie koniec jego nadziei. Moskiewska ulica zrozumiała to wcześniej. Gdy 1 maja, podczas tradycyjnej manifestacji na placu Czerwonym, pojawił się jak zwykle na trybunie na Mauzoleum Lenina, został najzwyczajniej wygwizdany. Zszedł z trybuny demonstracyjnie i nigdy nie powrócił.

Ostatnim ratunkiem dla rozpadającego się imperium miało być podpisanie nowej umowy związkowej, negocjowanej w podmiejskiej rezydencji w Nowo-Ogariewie. Do dziś trwają spory, czy był to sukces Gorbaczowa, czy jego porażka. Zwolnicy tej ostatniej oceny twierdzą, że przystępując do negocjacji z szefami, czy już prezydentami, dziewięciu republik związkowych (i z pominięciem parlamentów), niejako z góry rezygnował z formuły imperium jako państwa unitarnego i godził się na ograniczenie własnej władzy. Spór polityczny toczył się już tylko wokół jednego: czy nowy Związek Radziecki będzie rodzajem federacji, czy też luźniejszą konfederacją faktycznie niezależnych państw. Stronnicy przeciwnej tezy dowodzą, że po kilku miesiącach negocjacji, po wielu bojach i konfliktach Gorbaczowowi udało się jednak doprowadzić do kompromisu, a wszystko pokrzyżował sierpniowy pucz, dokonany na dzień przed planowanym podpisaniem nowej umowy związkowej. Trzydniowy zamach stanu, na którego czele stanęli w większości ludzie dopuszczeni do władzy po dokonaniu przez Gorbaczowa zwrocie na prawo, i ich porażka, zakończona trzydniową rewolucją w Moskwie, rozpoczęły przyspieszoną agonię Związku Radzieckiego.

## Pucz

Gorbaczow zlekceważył wszystkie ostrzeżenia. Nie tylko z początku 1991 r., od Szewardnadzego, ale także te kierowane do niego bezpośrednio przed puczem. Ostrzegał go Jakowlew, a nawet prezydent George Bush (senior). Gdyby wstrzymał się z wyjazdem na sierpniowy urlop, może historia potoczyłaby się zupełnie inaczej.

W poniedziałek 19 sierpnia 1991 r., parę minut po godzinie szóstej, zadzwonił do mnie kolega, polski korespondent. – Dzieje się historia, a ty spisz – powiedział. – Włącz telewizor, w ZSRR właśnie wprowadzono stan wyjątkowy. Do Moskwy ścigają czołgi.

To był mój drugi dzień pobytu w ZSRR. Po pięciu latach pracy korespondenta PAP i kilku miesiącach przerwy – znów byłem w radzieckiej stolicy, aby opisywać ciąg dalszy pierestrojki Michaiła Gorbaczowa. Tym razem jako korespondent „Rzeczpospolitej”.

Zerwałem się na równe nogi, zadowolony, że przynajmniej dzień wcześniej zdążyłem przekazać korespondencję o Aleksandrze Jakowlewie, który ostrzegał o możliwości przewrotu organizowanego przez partyjny beton. Włączyłem telewizor. Pokazywali *Jeziro łabędzie*, potem lektor czytał komunikat, że Michaił Gorbaczow jest chory i jego obowiązki pełni wiceprezydent ZSRR Giennadij Janajew, a także że powołano Państwowy Komitet Stanu Wyjątkowego (po rosyjsku GKCP). W jego skład oprócz Janajewa (jako przewodniczącego) weszli: premier Walentin Pawłow, szef KGB Władimir Kriuczukow, minister spraw wewnętrznych Borys Pugo, minister obrony Dmitrij Jazow, członek Biura Politycznego KPZR Oleg Szenin, sekretarz KC KPZR nadzorujący kompleks wojenno-przemysłowy Oleg Bakłanow, „główny kołchoźnik kraju” Wasilij Starodubcew i Anatolij Tizjakow – przewodniczący Asocjacji Przedsiębiorstw Państwowych oraz Obiektów Przemysłu, Budownictwa, Transportu i Łączności ZSRR.

Chciałem sprawdzić, jak wygląda wprowadzanie stanu wyjątkowego. Koło Białego Domu, czyli parlamentu (siedziby rosyjskiej Rady Najwyższej), panował absolutny spokój. Pojechałem w stronę moskiewskiej obwodnicy. Kolumny wojskowe ciągnęły do centrum miasta. Po drodze liczyłem wozy bojowe – transportery opancerzone i czołgi. 10, 20, 30... Wojsko zajmowało strategiczne obiekty, zgodnie z praktyką sprawdzoną niegdyś przez bolszewików: pocztę, dworce, najważniejsze urzędy państwowe.

Zbierając materiały do korespondencji, prze-gapiłem jeden historyczny moment: około jedenastej przed Białym Domem pojawił się Borys Jelcyn, który dzień wcześniej wrócił ze spotkania z Nazarabajewem w Kazachstanie. Wszedł na czołg i ogłosił, że to nie żaden Komitet Stanu Wyjątkowego, ale zwykły antykonstytucyjny pucz, zamach na wolność i demokrację, którego organizatorzy poniosą odpowiedzialność. Rosja się im nie podporządkuje, będzie stała na straży porządku konstytucyjnego. Rozmawiałem potem z kolegami, świadkami tego wystąpienia. Byli zgodni: koło czołgu, z którego przemawiał prezydent Rosji, stało najwyżej kilkaset osób. Ale potem z każdą godziną przybywało ich coraz więcej. W poprzek Prospektu Kalinina (dziś Nowoarbackiego) zaczęto budować barykady. Kilka czołgów dowodzonych przez majora Jewdokimowa z gwardyjskiej Dywizji Tamańskiej przeszło na stronę Jelcyna. Po rozmowie z wiceprezydentem Rosji generałem Aleksandrem Ruckim miały odtąd bronić dostępu do Białego Domu.

Mimo otwartego konfliktu, groźby bezpośredniego starcia i wszystkich rygorów stanu wyjątkowego – rosyjski parlament był właściwie otwarty dla dziennikarzy i korespondentów zagranicznych. Wystarczyło pokazać akredytację, aby bez przeszkód dostać się do środka, porozmawiać z deputowanymi Rady Najwyższej RFSRR lub wejść na salę obrad.

Po południu odbyła się (jedyna) konferencja prasowa członków GKCP. Przewodniczący Jana-

jew długo tłumaczył, dlaczego zdecydowano się na taki krok. Bo Gorbaczow jest chory, bo państwo radzieckie znajduje się w stanie rozkładu i trzeba przywrócić porządek w kraju, a planowane na 20 sierpnia podpisanie nowego układu związkowego, który miał zmienić charakter państwa radzieckiego z unitarnego na federacyjne, musi zostać odroczone. Prawdopodobnie na zawsze, bo nikt z obecnych w centrum prasowym nie miał wątpliwości, że właśnie chęć zablokowania tego układu jest jednym z głównych powodów zamachu stanu.

Symbolem tej konferencji były pokazane w telewizji trzęsące się ręce Janajewa. Mówiono wówczas, że to skutek nerwowego napięcia, a może nawet wewnętrznego konfliktu moralnego. Jak się później okazało, przyczyna była bardziej prozaiczna. Dzień wcześniej, po wieczornej naradzie na Kremlu z udziałem najważniejszych aktorów dramatu, na której podpisano podstawowe dokumenty i dekrety, a także ostatecznie ustalono, kto zostanie przewodniczącym GKCP oraz twarzą puczu, większość przeniosła się do nowego szefa państwa i piła do rana. Premier Walentin Pawłow, o którym wiedziano, że ma problemy z alkoholem, ciągnął tak ostro, że nazajutrz (czyli pierwszego dnia puczu) musieli interweniować lekarze. Praktycznie został wyłączony, choć gdy już doszedł do siebie, pił dalej na daczach – aż do aresztowania.

Napięcie wzrosło dopiero następnego dnia, gdy do Białego Domu dotarły informacje, że puczyści postanowili zmienić taktykę. Dotąd – mówiono – działali według scenariusza czeskiego, z czasów praskiej wiosny. Zakładali, że wystarczą pozory legalności (chory Gorbaczow i konstytucyjnie wybrany wiceprezydent Janajew, przejmujący jego obowiązki), a także demonstracja siły. Gdy jednak okazało się, że w ten sposób nic się nie da zrobić i właściwie przegrali pierwszy moment zaskoczenia, postanowili powtórzyć wariant ze stycznia 1991 r., gdy próbowano szturmować na parlament litewski i wieżę telewizyjną w Wilnie.

## Scenariusz litewski

W KGB i gabinetach Ministerstwa Obrony zaczęto w pośpiechu przygotowywać plany zdobycia Białego Domu i aresztowania Jelcyna, jego współpracowników, a także czołówki znienawidzonej przez puczystów opozycji demokratycznej oraz liderów pierestrojki (m.in. Aleksandra Jakowlewa).

Koło parlamentu, bronionego przez coraz liczniej gromadzących się przeciwników puczu, zaczęli pojawiać się agenci KGB oraz Alfy (specjalnej jednostki KGB, która zasłynęła w Afganistanie, szturmując silnie chroniony pałac prezydencki, aby zabić prezydenta Amina). Na podstawie ich doniesień ustalano, które jednostki wojsk wewnętrznych i powietrzno-desantowych wspierać będą Alfę, kiedy otworzą ogień czołgi i kto będzie ostrzeliwał poszczególne piętra z granatników, wreszcie – jak mają działać alflowcy, gdy już przebiją się do środka (wiązka granatów do każdego pokoju, serie z automatów, a potem aresztowanie tych, którzy to wszystko przeżyją). Dokładnie tak samo, jak w Kabulu.

Ale sytuacja zaczęła się zmieniać, bo swoje dekrety podpisał i ogłosił również Jelcyn. Podporządkował władzom rosyjskim wszystkie związkowe struktury Ministerstwa Obrony, KGB i MSW działające na terenie RFSRR. To było wprost rzucone wyzwanie. I jeśli wcześniej puczyści mogli liczyć na to, że jakoś się dogadają z rosyjskim prezydentem, którego rywalizacja z Gorbaczowem była powszechnie znana, to teraz walka toczyła się na śmierć i życie.

Mistrzowskim posunięciem Jelcyna okazało się zwołanie 20 sierpnia w godzinach południowych wielkiego wiecu koło Białego Domu. Już wiadano o przygotowywanym szturmie; informację o nim, dokładne plany, a także godzinę 0 – wyznaczoną na trzecią rano w nocy z 20 na 21 sierpnia – przekazał do rosyjskiego parlamentu gen. Paweł Graczuw (późniejszy minister obrony Rosji), ściągnięty do Moskwy przez puczystów z jego jednostkami wojsk powietrzno-desantowych.

## Obrona Białego Domu

Byłem na tym wiecu. Robił wrażenie. Na apel władz rosyjskich pod siedzibę parlamentu przyszło 50 tys., a może nawet 100 tys. ludzi, większość została tu przez całą noc. Najpierw przemawiał Jelcyn, ochraniający płytami kuloodpornymi. Zapowiadał zdecydowany opór i wzywał do obrony demokracji, konstytucji i legalnie wybranego prezydenta Gorbaczowa. Po nim przemawiali Jelena Bonner – wdowa po Andrieju Sacharowie, a także o. Gleb Jakunin – jeden z liderów opozycji demokratycznej, prawosławny pop, wyklęty później przez Cerkiew. Wiec trwał kilka godzin. W tym czasie na rozkaz władz rosyjskich drogi dojazdowe do Białego Domu zostały zablokowane ciężarówkami, autobusami i trolejbusami, wzmocniono barykady i zorganizowano obronę wszystkich wejść do rosyjskiego parlamentu. Utworzono i po wojskowemu zorganizowano zupełnie niezłe uzbrojone oddziały obrońców...

Najważniejsi okazali się jednak ci, którzy po prostu przyszli pod rosyjski parlament, aby bronić demokracji i wolności. A także kobiety, które w kilku szeregach, trzymając się za ręce, przegrodziły Prospekt Kutuzowski, by – niczym żywe tarcze – zablokować czołgom i wojsku dostęp do parlamentu. Przecież – przekonywały – żołnierze nie będą strzelać do kobiet...

W pewnym sensie miały rację. Najpierw do buntu doszło w samej Alfie, o której mówiono, że na sam jej widok lepiej złożyć broń. Szeregowi specnazowcy sprzeciwili się planom swoich dowódców i uznali, że wobec masowej obrony Białego Domu operacji „Grom” (czyli szturm na rosyjski parlament) nie da się wykonać bez setek ofiar, a takiej rzezi nie chcą brać na swoje sumienie.

W tym samym czasie również w dowództwie wojskowym zrozumiano, że awantura zaczyna przybierać niebezpieczne rozmiary i lepiej się w nią nie angażować. Wprawdzie marszałek Jazow domagał się zdecydowanych działań, ale w krytycznym momencie, gdy wszystko zależało od

tego, czy Paweł Graczow wyda swoim jednostkom rozkaz natarcia na Biały Dom, jego komenda brzmiała: *stojat'*.

To wszystko działo się za kulisami. W otoczeniu Jelcyna już wiadano, że szturm nie będzie, ale alarm obowiązywał. Przez całą noc z wtorku na środę sytuacja była maksymalnie napięta. Na Sadowym Kolcu, niecały kilometr od Białego Domu, w przejeździe pod Prospektem Kalinina obrońcy parlamentu usiłowali zatrzymać oddział wojska. Ktoś próbował własnym ciałem zatarasować drogę, ktoś inny usiłował wyciągnąć z transportera żołnierzy. Padły strzały, zginęły trzy osoby. Jedyne ofiary śmiertelne tego puczu.

I to był koniec. Następnego dnia, gdy rano poszedłem do Białego Domu, panowała już atmosfera zwycięstwa. Debatowano, kto poleci do Foros, by uwolnić Gorbaczowa, jaki ma być dalszy los puczystów... A kiedy już ustalono skład ekipy i kto będzie towarzyszył wiceprezydentowi Rosji Aleksandrowi Ruckiemu, okazało się, że trzeba się ścigać z puczystami, którzy również wybierają się do Gorbaczowa, aby w ostatniej chwili próbować jeszcze odwrócić bieg wydarzeń.

### Rewolucja po puczu

Puczysci spóźnili się i nie byli w stanie uratować własnych głów. Większość została aresztowana bezpośrednio po powrocie do Moskwy, na rządowym lotnisku Wnukowo 2, albo kilka dni później; w przypadku Pawłowa czekano, aż dojdzie do siebie. Niektórych nie zdążono aresztować. Minister spraw wewnętrznych Borys Pugo zastrzelił się, zanim przyszedł po niego z nakazem zatrzymania. Nikołaj Kruczina, szef wydziału administracyjnego KC KPZR, odpowiedzialny za jej finanse (w dniach puczu niewidoczny), nie wiadomo dlaczego popełnił samobójstwo, rzucając się z okna. Samobójstwem też zakończył bliski doradca Gorbaczowa we wszystkich rozmowach rozbrojeniowych marszałek Achromiejew – powiesił się w swoim gabinecie. Choć nie był brany pod uwagę przez

puczystów, przerwał urlop i sam się zgłosił do GKČP, bo – jak napisał tuż przed śmiercią w liście do Gorbaczowa – w całości podzielał ich racje.

Po trzech dniach puczu w Moskwie zaczęła się rewolucja. Po powrocie Gorbaczow, zamiast prosto z samolotu udać się do Białego Domu i spotkać się z rosyjskimi deputowanymi, którym zawdzięczał uwolnienie, pojechał do domu. Zdaniem Szachnazarowa stracił ostatnią szansę, aby w tej nowej Rosji, jaka się wówczas rodziła, zachować pozycję przywódcy.

Do oficjalnego spotkania z rosyjskimi deputowanymi doszło dopiero następnego dnia, 23 sierpnia. Byłem wówczas w Białym Domu. Gorbaczow wygłosił chyba najgorsze w swym życiu przemówienie, utrzymane w jego klasycznym stylu, na zbyt ogólnikowe. Sprawiał wrażenie, jakby kręcił i niczego nie rozumiał z tego, co się stało – że jego państwa i władzy już faktycznie nie ma. Za to Jelcyn triumfował, nie szczędząc Gorbaczowowi gorzkich słów prawdy i umiejętnie dawkowanej krytyki, by na koniec na sali obrad w obecności deputowanych demonstracyjnie podpisać dekret o delegalizacji KPZR, której sekretarzem generalnym Gorbaczow wciąż jeszcze pozostawał.

Wieczorem na Łubiance, przed siedzibą KGB, zaczął się gromadzić wielotysięczny tłum. Ściągniętym dźwięgiem obalono pomnik Feliksa Dzierżyńskiego. Tłum ruszył następnie na położoną kilkaset metrów dalej Starą Płoszczadź, gdzie znajdowała się siedziba KC KPZR. Usiłowano wdrzeć się do środka i zająć budynki, aby nie dopuścić do zniszczenia dokumentów. Częściowo się to udało. Szachnazarow napisał potem w swoich pamiętnikach, że jego przyjaciel Anatolij Czerniajew (również doradca Gorbaczowa) osobiście mógł się przekonać, że wcześniejsze plotki o istnieniu tajnego, podziemnego przejścia ze Starej Płoszczadi do Kremla były prawdziwe. Właśnie tą drogą w krytycznym dniu ewakuował się z gmachu KC, zabierając najważniejsze dokumenty.

Po obaleniu pomnika Dzierżyńskiego, gdy tłum demonstrantów szturmował gmach KC i zamierzał



udać się na plac Oktiabrski (dziś Kałużski), aby rozprawić się również z pomnikiem Lenina, zjawili się przedstawiciele Białego Domu. Pamiętam wśród nich Siergieja Stankiewicza – jednego z liderów opozycji demokratycznej. Udało się im przekonać tłum. Rewolucja została opanowana.

### Ostatni dzień ZSRR

Pucz i wydarzenia następnego dnia to był rzeczywisty koniec radzieckiego imperium. Do puczu Związek Radziecki zsuwał się po równi pochyłej, ale istniała jeszcze jakaś szansa na to, że przetrwa, nawet w odmienionej formie. Teraz czekała go już tylko przyspieszona agonia.

Gorbaczow, niczym Napoleon po ucieczce z Elby, zyskał jeszcze swoje sto dni, a dokładnie sto dziesięć. Coś jeszcze próbował zrobić i mimo wszystko doprowadzić do podpisania nowej umowy związkowej. Już tylko on w to wierzył. Stawał na głowie, aby przekonać przywódców republik (przede wszystkim Rosji i Ukrainy) do pozostania przy wynegocjowanym wcześniej federacyjnym kształcie państwa, ale oni chcieli już luźniejszej konfederacji, a naprawdę każdy gotów był pójść w swoją stronę. To także był pośredni skutek puczu. Unaocznili wszystkim, że władza centralna, związkowa, nie sięga poza Moskwę, skoro wszystkie republiki związkowe mniej lub bardziej dyplomatycznie albo całkowicie zignorowały dekrety GKChP, albo otwarcie wystąpiły przeciwko, mając świadomość, że Moskwa nic już im nie zrobi. Władza Gorbaczowa okazała się iluzoryczna, ograniczona w najlepszym razie do murów Kremla, a raczej do kilku zajmowanych przez niego kremlofskich gabinetów.

To było podczas wielkiej manifestacji zwycięstwa i triumfu, gdy składano hołd trzem ofiarom GKChP, a Prospektem Kalinina niesiono długą, chyba stumetrową, trójkolorową flagę rosyjską. Udało mi się dostać na balkon Białego Domu, zastępujący trybunę. Rozmawiałem z Olegiem Rumiancewem, jednym z działaczy opozycji demokratycznej,

którego poznałem podczas wielkich demonstracji moskiewskich w 1989 r. Podszedł do nas Rusłan Chasbułatow, ówczesny przewodniczący Rady Najwyższej RFSRR. Na pytanie Olega: – Zwyciężyliśmy i co dalej? – Chasbułatow zdziwiony pytaniem odpowiedział: – Jak to co? Przejmujemy wszystko, banki, przedsiębiorstwa, zakłady...

Gorbaczow był już nikim. Prace nad nowym układem związkowym toczyły się jeszcze siłą inercji, ale poza Gorbaczowem nikomu na nim nie zależało. Tak jak i na KPZR, którą bez większego szumu rozwiązano. Równie szybko skończył się sierpniowy sojusz Gorbaczowa i Jelcyna. I chociaż jeszcze 14 listopada 1991 r. prezydent Rosji deklarował wolę odnowienia państwa związkowego, to w głębi duszy już się z nim pożegnał. – W jednym barłogu – mówił w wąskim gronie zaufanych współpracowników – nie może być miejsca dla dwóch niedźwiedzi.

W finale, jak opisuje go Szachnazarow, gra toczyła się w trójkącie Gorbaczow – Jelcyn – Krawczuk. Ten pierwszy usiłował za wszelką cenę ratować ZSRR i godził się nawet na konfederację, podczas gdy Jelcyn szantażował go, twierdząc, że Krawczuk – czyli Ukraina – i tak się na to nie zgodzi, a bez Ukrainy układ nie ma sensu. Radziecki parlament o niczym już nie decydował. Realna władza należała do Rady Państwa, tworzonej przez dziewięciu szefów republik związkowych, której tylko formalnie przewodniczył prezydent ZSRR. Mógł on co najwyżej przekonać deputowanych na V Nadzwyczajnym Zjeździe, aby zjazd sam się rozwiązał. I większość to przegłosowała.

Gorbaczow był prezydentem bez państwa. Nawet Kreml nie należał do niego w całości. Miał swoje piętro, ale wjazdowej Bramy Spasskiej i Borowickiej pilnowali ochroniarze Jelcyna.

25 listopada doszło do kolejnego sporu między Gorbaczowem i Jelcynem, po którym stało się jasne, że próby ratowania Związku skazane są na niepowodzenie. Na posiedzeniu Rady Państwa szefowie republik mieli parafować nowy układ związkowy. O głos poprosił Jelcyn i zakomunikował

wał, że Rosja nie zgadza się z przyjętymi zapisami. W układzie – oświadczył – mowa jest o „państwie konfederacyjnym”, a powinna to być luźniejsza forma „konfederacji państw demokratycznych”. Zagroził, że w przeciwnym razie Rada Najwyższa Rosji może układu nie ratyfikować, bez Ukrainy *Sojuza nie budiet* i lepiej poczekać do 1 grudnia, gdy będą znane wyniki ukraińskiego referendum w sprawie niepodległości Ukrainy. Gorbaczowa poparli jedynie prezydenci Kazachstanu – Nazarbajew i Kirgizji – Akajew.

Ostateczny wyrok zapadł krótko po ukraińskim referendum. Gorbaczow gotów był zgodzić się na zmianę statusu Ukrainy jako „członka stowarzyszonego”, ale było już za późno. W referendum, w którym postawiono tylko jedno pytanie: czy zgadzacie się z aktem ogłoszenia niepodległości Ukrainy – przeszło 90 proc. spośród blisko 32 mln głosujących (ponad 84 proc. uprawnionych) odpowiedziało „tak”.

8 grudnia w Wiskulach w Puszczy Białowieskiej zebrali się przywódcy trzech republik słowiańskich: Borys Jelcyn, Leonid Krawczuk i Stanisław Szuszkiewicz. Ten ostatni kategorycznie protestuje przeciwko posądzeniom, że zawiązano wówczas spisek. Według jego relacji (w wywiadzie, którego udzielił w 1998 r. „Rzeczpospolitej”) wszystko wyglądało tak: już 21 października, podczas spotkania przywódców republik związkowych w Nowo-Ogariewie i po kolejnej awanturze wokół projektu porozumienia związkowego, narodził się pomysł, aby zaprosić Jelcyna na Białoruś. Później do zaproszenia dołączono Leonida Krawczuka, a także Nursułtana Nazarabajewa. Ten ostatni bał się jednak awantury i w drodze na Białoruś zatrzymał się w Moskwie, spotkał z Gorbaczowem – i dalej nie polecał. (Podobno Gorbaczow obiecał mu wówczas, że w nowym państwie związkowym, jeśli takie powstanie, będzie miał zagwarantowane stanowisko przewodniczącego parlamentu).

Według relacji Szuszkiewicza Giennadij Burbulis, najbliższy doradca Jelcyna, uważany za szarą eminencję jego ekipy, jako pierwszy postawił bez

ogródek fundamentalne pytanie: a może by tak zastanowić się nad problemem, czy ZSRR w ogóle jeszcze istnieje? Możemy formalnie ogłosić, że przestał istnieć. Okazało się wtedy, że nikt przeciwko temu nie oponuje. – W Wiskulach – mówił Szuszkiewicz – mieliśmy do wyboru: albo w sposób kategoryczny przedstawimy Gorbaczowowi nasze żądania, albo w ogóle nie będziemy na niego zwracać uwagi. Wybraliśmy to drugie.

Pozostawało już tylko przygotować stosowny dokument, który na miejscu zredagowano, no i podpisać. A potem oficjalnie poinformować Gorbaczowa, że jego państwa już nie ma. To zadanie spadło na Szuszkiewicza. Jelcyn miał natomiast nieco później porozmawiać z prezydentem Georgem Bushem. Wyszło tak, że rozmawiali prawie jednocześnie, bo Szuszkiewicz długo musiał czekać na połączenie z Gorbaczowem. – Kiedy powiedziałem Michaiłowi Siergiejewiczowi o podjętych przez nas decyzjach – opowiadał później Szuszkiewicz – zapytał mnie, czy zdaję sobie sprawę, jak zostaną przyjęte przez społeczność międzynarodową. Odpowiedziałem, że rozumiem, ale Jelcyn właśnie rozmawia z Bushem i jemu też się one podobają.

I było po wszystkim. Gorbaczow mógł odwołać się do armii, mógł po prostu aresztować „białowieskich spiskowców”. Miał do tego konstytucyjne prawo, a nawet obowiązek wystąpić w obronie państwa, którego był legalnym prezydentem. Jednak tego nie zrobił. Graczow twierdzi, że chciał uniknąć krwawego konfliktu politycznego czy nawet wojny domowej. Ale może po prostu rozumiał, że zapoczątkowany przez niego proces osiągnął logiczne zakończenie; powiedział „a”, „b” i „c”, a teraz doszedł do „z”. Tylko tę ostatnią literę alfabetu wypowiedział już ktoś inny.

\* \* \*

25 grudnia 1991 r. wieczorem Michaił Gorbaczow ogłaszał przed kamerami abdykację ze stanowiska prezydenta ZSRR. Krótko potem pojechałem na plac Czerwony. Chciałem zobaczyć, jak z Pałacu

Kremłowskiemu spuszczałą czerwoną flagę radziecką, a podnoszą nową, trójkolorową – demokratycznej Rosji (tak wówczas mówiono). Na placu Czerwonym panowała kompletna cisza. Ruch – jak zwykle o tej porze. Pojedyncze grupy turystów, trochę przechodniów i milicjantów, przez 24 godziny na dobę pilnujących tego miejsca... To było szokujące. Taki moment, historia dokonuje się na naszych oczach i nic się nie dzieje. Ani protestujących, ani demonstracji triumfu i entuzjazmu, takich jak ta ostatnia, sprzed niespełna czterech miesięcy, gdy sto tysięcy moskwiów świętowało zwycięstwo Jelcyna i opozycji demokratycznej po nieudanym puczu. Umiera radzieckie imperium i jest cisza...

Krótko po odejściu Gorbaczowa rozmawiałem z moją znajomą Iriną. Zawsze stała po stronie opo-

zycji demokratycznej, uważała się za liberała i popierała Jelcyna. A teraz była wściekła. Jak to? – pytała. – Mam starać się o wizę, żeby pojechać do rodziny na Łotwę? Długo nie mogła się z tym pogodzić, że to jest już całkowicie suwerenne państwo.

Wiek XX rozpoczął się z opóźnieniem – z wybuchem pierwszej wojny światowej, a może nawet jeszcze później, gdy dokonana się rewolucja bolszewicka, która – jak pisał John Reed – „wstrząsnęła światem”. Skoro tak, równie dobrze można powiedzieć, że ten najkrótszy wiek w historii także skończył się przed terminem: właśnie 25 grudnia 1991 r., gdy na Kremlu spuszczano flagę radzieckiego imperium. Przestał istnieć budowany przez dziesięciolecia dwubiegunowy model ładu światowego, a nowy ciągle jeszcze rodzi.